

KRONIKA

RODZINNA

N^o. 10.

Warszawa, dnia 3 (15) Maja 1873 r.

Serya II.

Warunki prenumeraty.

W Warszawie: w Biórze Redakcyi, z odnośzeniem do domu, rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.

Prenumerować także można po tej samej cenie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50. Pieniądże nadsyłać należy wprost do Redakcyi.

Kronika Rodzinna wychodzi d. 1 i 15 każdego miesiąca.
Cena pojedynczego Numeru kop. 20.

Biuro Redakcyi
przy ulicy Marszałkowskiej, Nr. 75.

W Cesarstwie Austriackim—w Lwowie w Księgarni Gubrynowicza i Schmidta po cenie: Kwartalnie na miejscu fl. 1 cen. 50. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2 cen. 15.

W Krakowie w Księgarni Friedleina: Kwartalnie w miejscu fl. 1 cen. 65. Kwartalnie z przesyłką pocztową fl. 2.

W W. księstwie Poznańskim—w Poznaniu w Księgarni Dasskiewicza po cenie: Kwartalnie w miejscu tal. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową tal. 1 gr. 6.

TREŚĆ. Listy z podróży A. E. Odyńca. IV. — Próbką słownika języka polskiego. — O winorośli a wiązcie, (przypowieść nadobna), wiersz, przez Felicjana. — Odrodzenie, wiersz, przez J. W-nera. — Korrespondencje: z Petersburga; ze Lwowa. — Dziennik z podróży po Niemnie, przez Zygmunta Glogera. — Podróż po Afryce. (Ciąg dalszy). — Psychologia doświadczalna i jej główni przedstawiciele, przez Dra Bonifacjusza Nemo. I. — Z powodu artykułu p. Teresy Prażmowskiej. — Karol Lineusz, przez Wawrzeńca hr. Ergeströma. — Wiadomości literackie. — Od Redakcyi Kroniki.

LISTY Z PODRÓŻY

A. E. Odyńca. ¹⁾

IV.

Do Julijana Korsaka.

Rzym 23 Grudnia 1829 r.

Jeśli się może gniewasz że nie pisałem tak dawno, to radzę ci daj temu pokój! bo ja nie tylko nie myślę przeproszać, ale owszem, jak Sozio w Amfitryonie Zabłockiego, który dziwił się sam mężtwu swemu mówiąc:

„Prawda że się boję,

Lecz kto inny ze strachu zdechłby—a ja żyję.“
tak i ja mógłbym w tej chwili dziwić się raczej pracowitości własnej, mówiąc także *à la Sozio*:

„Prawda, że próżnuję,

Lecz kto inny z znużenia spałby—a ja piszę.“

A więc skąd to znużenie? zapytasz. Skąd? A czy młyn, gdyby nie był z drzewa i kamienia, nie byłby w końcu znużony, mieląc wciąż to to, to owo, choćby nawet sam wiatr lub plewy? Czy kołowrotek, gdyby miał głos i gardziel, nie musiałby ochrypnąć fruczając bez ustanku? Czy wół lub osieł po zejściu z deptaku nie kładzie się wnet aby odpocząć? Otóż głowa moja, to młyn (dajmy nawet że wietrzny!); język mój, to kołowrotek, (ma się rozumieć podręką i u stóp pici pięknej); a stopy moje przez dzień cały udepcą pewno więcej niż ten wół lub osieł. A przyczyna tego wszystkiego? Sława!!! Igdybyż przynajmniej własna—ale cudza! W pamiętnikach Byrona czytałem, że bawiąc całą jedną zimę w Londynie, po powrocie z Grecyi i po wydaniu dwóch pierwszych pieśni *Childe-Harolda*, nie innego nie robił, jak wybierał się, ubierał się, i przebierał się tylko, na wizyty, obiady i bale, i chyba zasypiając lub budząc się niekiedy, miał czassklecić jaki komplement lub deklarację damom, które go tak rozrywały. Towarzyszącymu wtedy nieodstępnie autor *Lalla-Rooki*, odegrywałby kubek w kubek dzisiejszą rolę moją tutaj, gdyby też sam przez siebie nie miał praw równych do tychże samych owacy i względów tego świata. Mnie brak tych praw zastępuje brak pretensyj do nich; i przeto śmiało i bez skrupułu ruszam wszędzie z Adamem na obia-

dy, wieczory i rauty, (bo balów w adwencie tu nie ma), na któreby mnie może nie proszono bez niego. Przykro mi tylko niekiedy, że idąc tu lub ówdzie, gdzie nas officjalnie zaproszą, nie ma czasu pójść tam bez prośzenia, gdzie serce ciągnie a za przyjście zawsze dziękują. Adam niecierpliwi się tym jeszcze bardziej, i to z tego samutkiego powodu. Bo obu nasjedna i ta sama *droga łaski (via Mercéde)* prowadzi do tego samego punktu, gdzie ja przynajmniej czuję się jak w raj.

Bo na niczem tam nie braknie
Czego myśl i serce łaknie.
Drzwi ci na oścież otwiera,
Gościnność uprzejma, szczerą.
U progu zaraz cię spotka,
Życzliwość miła i słodka.
Myśl budzi, duszę przenika,
Rozmowa albo muzyka.
A jak od blasku jutrzeńek,
Od lic i oczu panienek,
Chmurny się nawet na nowo
Humor wnet barwi różowo.
I czegoż więcej potrzeba
Do raj—nie mówię nieba?

Tém bardziej, że jest w nim i Adam i Ewa, (drugie imię panny Henryety), a nawet bodaj, bodaj!...

Czy ty wiesz tę zagadkę:

Trzy laseczki w jednej lidze,
A nad czwartą kropka idzie, i t. d.

a w której przed końcem *wije się wąż misterny*, a na końcu *świeci miesiąc niezupełny*? Otóż bodaj, bodaj, czy dla uzupełnienia podobieństwa raj, nie wśliznie się do niego i ów gość *misterny*, ze słowem właśnie tej zagadki, jak z jabłkiem! A że nie na mnie pewno będzie ostrzył zęby, więc też i nie o siebie się boję. Dotąd wszakże jest to tylko mój domysł, i dla tego mówię ci o nim zagadkowo tylko, i pod sekretem. Ale nie uwierzysz jak Adam od niejakiego czasu jest słodki, miły, rozpromieniony, poetyczny!! a jak łaskaw i czuły dla mnie! jak mię często całuje i gładzi—nie wiem za co? Wyraźne wezbranie serca! Albo może chyba dla tego, że widzi, jak sama pani domu jest na mnie łaskawa, albo jak z panienkami jestem w harmonii braterskiej. Bo on sam, choć z niemi zwykle wesoi i zartobliwie rozmawia, do poufałości się jednak nie zbliża. To też obie pa-

nienki mówią mi, że się go boją; a nawet sama pani domu, pomimo całej swojej szczególnej otwartości, nie jest z nim tak jak z drugimi, i tylko za pośrednictwem mojem zrzuca czasem z serca sekreta, które jej ciężą widocznie, a których przed nim samym wprost powiedzieć nie śmie. I jak np. wiem od niej, że panna Henryeta, spodziewając się poznać Adama, wyobrażała go sobie podobnym do Mojżesza, (posągu Michała Anioła), a chodzącym w długim surducie, jak jaki pastor albo lord angielski. Teraz zaś upatruje w nim podobieństwo do profilu Antinousa. Wiem także, że obie panienki, w skutek zapewne dysput i przekonania się Adama, przedsięwzięły nowennę na intencją nawrócenia jego i odmawiają ją codzień rano i wieczorem. Ostatnia ta wiadomość została mi udzieloną pod największym sekretem, i nawet pod słowem honoru, że się z nią przed panienkami nie zdradzę. O Adamie mowy nie było. On zaś, gdy mu to powiedziałem, przyjął ten dowód życzliwości wcale nie tak, jak je niekiedy przyjmuje od innych, to jest, kiedy się częściej niemi niecierpliwi niż wrzusza. I tak np. niedawno, na niedzielnym zebraniu u xiężny Zeneidy, był on nieco zakatarzony i ochrypł. Natychmiast wszystkie damy—a było ich kilkanaście — zaczęły jedna przed drugą doradzać mu różne lekarstwa. Widziałem, że go to już nudziło okropnie. Ale gdy w końcu przy herbacie sama pani Własow przyniosła mu całą szklankę ubitych przez siebie żółtek, zaczął formalnie kaprysić jak rozpierzchnione dziecko, które nie chce przyjąć lekarstwa, twierdząc, że go znosić nie może. Ja więc tedy, wychodząc w roli *grzeczniejszego brawiszka*, żeby się praca dobrej pani Własow nie zmarnowała przecież napróżno, domieszałem do tego romu, i przyrządziłem sobie pyszny *hogel-mogel*. Nazajutrz zaś, jessześmy spali, słysząc pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od xiężny Dietrichstein, oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był do Adama, a w koszu cztery słoje—nie słoiki—konfitur. Ledwie ten odszedł—stuk, stuk znowu; i wchodzi drugi lokaj od xiężny Galicyan, także z dwoma słoikami konfitur i z tyłuż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacyenta. Nie upłynęło godziny, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin, z pudłem cukierków

¹⁾ Ob. Nr. 1, 4 i 6 Kroniki Rodzinniej.

i paczką *skórki panińskiej*, a także z bilecikiem od panny Anastazyi (o której niżej), a która w nim, z ujmującym dowcipem i wdziękiem, igra jak Leda z łabędziem—przyporównując do niego poetę i grożąc mu pieśnią ostatnią, którą kraj i przyjaciel zasmuci, jeśli sam głosu swego szanować i leczyć nie będzie. Na żaden z tych bilecików Adam nie tylko nie odpisał, ale owszem, za całą wdzięczność, zły był tylko, że będzie musiał iść z podziękowaniem. Ja zaś śmiałem się w duchu, że nie mając potrzeby dziękować, najwięcej wszakże z tych łakoci skorzystam; bo on jak komplementowych *duserów*, tak i cukierków i konfitur nie lubi. Ale co to jednak za szczęście ta życzliwość ludzka! To dopiero prawdziwy kwiat sławy—ma się rozumieć poetyckiej; bo dziękuję za bohatera, którą głoszą gazety i wężale, a pleć piękną najczęściej płacze tylko na nią! A proszę tej płci pięknej nie kochać, kiedy ona razem tak dobra! I nie czekałem ja wcale na te konfitury i cukry, aby to zdanie sformułować w sobie. Kilka dni temu, rozprawiając szeroko z panną Anastazyą o miłości ogólnej ludzkości, skleciłem sobie potem następujący *jamb*, który, co się mnie tyczy, jest istotną prawdą:

Kiedym wchodził w świat,
Kto żyw, był mi brat;
I dla wszystkich ogółem
Braterską miłość czułem.
Lecz skutkiem różnych zmian,
Zmienił się ten mój stan.
Wprawdzie czuje, jakem czuł,
Tenże sam jęj zasób:
Tylko że dla braci w pół,
Dla siostr—we dwojnasób...

Otóż do grona tych miłych i najmilszych siostrzyczek, przybyła nam niedawno nowa, właśnie owa wspomniana wyżej panna Anastazy Klustin, o której trzeba i warto powiedzieć nieco obszerniej. Wystąpiła tu ona na naszą scenę rychtyk jak Achilles w Iliadzie, który choć długo nie wychodzi z namiotu, jest w niej ciągle, przez samą swoją nieobecność, obecny. Tak było i z panną Anastazyą, w kółku, w którym tu zwykle żyjemy. Była ona cierpiącą, kiedyśmy przyjechali; ale zaraz pierwszego dnia razy z dziesięć słyszeliśmy z ust księżny Zeneidy i jej siostry: *Ah! quel dommage, qu' Anastasie n'est pas avec nous*, i że nie może poznać zaraz Adama. Przy pierwszej też wizycie u państwa Ankiewiczów, i sama pani i panienki pytały mnie i dziwiły się, że dotąd jeszcze nie znamy panny Klustin. Szewirew mówi o niej z entuzjazmem, jako o znawczyni poezji; Strzelecki z podziwieniem, o jej archeologicznych wiadomościach; p. Ricci unosi się nad jej muzyką; Brułow zasięga jej rady co do planów przyszłych swoich obrazów; o starym zaś Torwaldsenie powiadają, że jest w niej formalnie zakochany, równie jak jakiś osiemdziesięcioletni filozof genewski *Bonstetten*, który umyślnie dla niej przyjechał do Rzymu. O tym wszystkim słyszeliśmy ciągle. A więc ktoś jest ta wróżka? ta Muza dziewięć razy jedna? ta jakaś nowa Safo czy Korynna?—tém bardziej, że jej własni ziomkowie nadają jej to imię „Korynny z nad Donu” (*Corinne du Tanais*), gdyż jest obywatelką gubernii Tambowskiej. Jest to córka możnej rodziny, z matką wdową, od lat kilku podróżująca po całej Europie, a tak rozmiłowana w naukach i sztukach pięknych, a nade wszystko w mistrzach ich, ludziach sławnych, że ci nawzajem, jak Torwaldsen w Rzymie albo *Bonstetten* w Genewie, kochają się w niej lub admirują ją tak dalece, że nie ma prawie na lądzie Europy sławnego poety, uczonego, albo artysty, któryby nie był jej korespondentem. Otóż ta panna Anastazy, jak nam powiadano, pałała gorączkową chęcią poznania Adama, o którym już tyle słyszała. Co do mnie, możesz być pewny, że pomimo tych wszystkich jej uczonych zalet, nie zaniedbałem zapytać: czy ładna? A kiedy mnie i o tém jeszcze zapewniono, nie dziw się, że mi serce zapukało

mocniej, gdy nakoniec przed kilku dniami wyczytałem w bileciku księżny do Adama: „*Venez diner aujourd'hui chez moi: Anastasie sera des nôtres*”. Adam udawał obojętność; zauważyłem jednak, że ubierając się zawiązywał chustkę przed lustrem i musztrował po wielekroć kołnierzyk, aby równo wystawał z obu stron. Ja nie mogłem się pozbyć obawy, że pończoszczka błękitna (*bas bleu*) musi u niej z pod koturna wyglądać. Tymczasem wcale przeciwnie. Tak jest pełna naturalności i wdzięku, jakby zgoła, (jak niegdyś wielekrycyerze), nie miała do czynienia z książkami. To też prawda, że o samych książkach albo obrazach nigdy prawie nie mówi, a idzie jej przedewszystkiem o źródło wszystkich sztuk i książek—o myśl i ducha ludzkiego. To jest główny przedmiot jej rozmów, a ten już tak się widać z naturą jej umysłu zespolił, że nie psuje bynajmniej uroku prostoty i naturalności panińskiej. Sława zaś, jak mi się zdaje, musi działać na nią podobnie jak na mnie np. piękność. Każdy nowy sławny przyjaciel, tak musija podnosić i uszczęśliwiać w oczach własnych, jak elegantkę nowy strój lub klejnot, albo jak mnie znowu np. nowa ładna przyjaciółeczka. Szkoda tylko, że do takich przyjaciółeczek nie mam znać tyle szczęścia, co ona do sławnych przyjaciół; chociaż i ona, jak widzę, nie jest w wyborze wybredniejszą odemnie. Nie szuka samych tylko róż albo lilii, ale i fijołkiem nie gardzi. Ledwośmy bowiem weszli do salonu i gdy się pierwsze przedstawienie odbyło, z nieśmiałością zdaleka powitawszy Adama, zaraz do mnie odezwała się uprzejmie, że już mnie zna przez panią Własow. A wiedzieć trzeba, że—nie chwając się—mam szczęście być w łaskach tej pani, tak, że jak wiem pod sekretem od księżny, zaczęła pisać nową powieść, której bohater nie tylko ma moje imię, ale nawet z opisu ma być do mnie podobny. Okazuję więc moję wdzięczność autorce, nie mówiąc za co; a to powiedzenie panny Anastazyi obowiązuje mnie jeszcze do nowej, bo się stało pierwszym ogniwem miłej od razu i ożywionej rozmowy, która też, o ile wnosić mogę, stanowi pierwszy zasiew życzliwości wzajemnej. Lecz i to w większej części trzeba odnieść na konto Adama, z którym sama z początku, i przez cały czas siedzenia obok niego u stołu, była bardzo nieśmiała i jakby zmieszana, on zaś niezmiernie poważny i zimny. Ale czarowny wpływ białego pieca po obiedzie, przy którym podawano kawę i cygara, tak wkrótce obie strony rozcieplił: że nim przyszła kolej herbaty, (bośmy cały wieczór bawili), panna Anastazy była już w uniesieniu ekstazy, a Adam w pełni dobrego humoru. I gdybyśmy nie pierwiej poznali pannę Henryettę: i gdybyśmy nie pierwiej jej muzykę słyszeli: to Bóg wie, co by być mogło. Dość, że Adam, pomimo uzbrojenia się swego *a priori*, jest także pod urokiem tej nowej Armidy; ku czemu przyczyniło się nie mało, że mu nie powiedziała ani pół słówka komplementu, i o poezji zgoła nie mówiła; a tylko *dans toute sa maniere d'être* dawała zgodną wrażenie, jakie na niej jego znajomość i rozmowa czyniły. Jeżeli to jest sztuka—to arcydzieło; jeżeli zaś, jak sędzę, istotny objaw nastroju jej duszy: to w tém jest i rozwiązanie zagadki, przez co ona umie tak pociągnąć i ująć. Sztuka sama, nawet przy pomocy piękności, nie długo starczyłaby na to. A piękność u niej jest na drugim planie. Nie jest to piękność rysów, ale tylko ogólnego wyrazu twarzy, podobnie jak u panny Henryetty. A wyraz ten, rozumny i myślący, jest razem dziwnie naiwnym, zwłaszcza kiedy słucha mówiących. Jest w tém coś naksztalt ciekawości dziecka. A przytém owal twarzy kształtny; pleć delikatna i biała: chociaż jak u „Pani Jeziora”, *slightly tinged with brown*, to jest smagława; czoło otwarte, a oczy, chociaż palające i czarne, mają wszakże ten przymiot błękitnych, że zamiast wbijać się w drugich i przenikać jak ćwieki, łagodnym tylko blaskiem wabia same ku sobie. Największym zaś jej powabem i wdziękiem jest postać, wysoka, lekka, powiewna, i o tyle podobna do palmy, o ile

palmy, podług słów Tomasza Moora, podobnie są do kształtnych dziewic:

when sleep descending,
Warns them to their silken beds.
(gdy snem rozmarzone,
Chwiejąc się, idą na łoża jedwabne).

Ale zmiłuj się, nie myśl żem zakochany w pannie Anastazyi, że tak długo piszę ci o niej. Chcę tylko abyś mógł ją sobie wyobrazić, gdy o niej znów kiedy wspomnę, co się często zapewne przydarzy. Bo od owego pierwszego poznania, dom ich, (to jest jej i matki), jest jednym z głównych punktów naszego tu oparcia, tak nas w nim i gościnnie i serdecznie przyjmują. Zaraz nazajutrz byliśmy tam na obiedzie, z całym gronem księżny Zeneidy, a muzyka i śpiewy zatrzymały nas aż do północy. Panna Anastazy gra jak artystka; całe sonaty Bethowena na pamięć. Adam stał ciągle przy grającej i dzięki Bogu, powtarzam, żeśmy wprzódy pannę Henryettę poznali. Sama pani, (hrabianka Tolstoj z domu), skromna i cicha, żyje dla córki tylko i przez córkę; choć i jej samej nie brak wcale nauki i niepospolitego rozumu, który się w sądzie o rzeczach objawia; tylko że się z nim popisywać nie lubi; i co w niej najwydatniej uderza, to ujmująca dobroć i słodycz charakteru. W ogólności nie masz wyobrażenia, jak i ja dotąd nie miałem, jak te „córki Północy”, z wysokich sfer towarzyskich, któreśmy u księżny Zeneidy poznali, są także wykształcone wysoko: i to nie tylko umysłowo i uczuciowo, ale i religijnie duchowo. Prawda, że wszystkie prawie są już jakby przez pół, jeśli nie całkiem Rzymiankami, to jest, albo oddawna przebywają w Rzymie, albo w nim na zawsze osiadły. Pomiedzy temi ostatnimi pierwsze miejsce zajmuje księżna Dietrichstein, z domu księżniczka Szuwałow, o której już wyżej wspomniałem. Jest to już bardzo sędziwa matrona, ale pełna jeszcze życia i wdzięku w rozmowie, a całkiem pobożności i miłosiernym uczynkom oddana. Ma np. przy sobie bardzo znakomitego lekarza, pana *Pasqualini*, którego drogo opłaca, ale którego obowiązkiem nie jest czuwanie nad jej tylko zdrowiem, (bo owszem sama w medycynę nie wierzy), ale bezpłatne udzielanie rad wszystkim ubogim, którzy się przeto tłumnie do niego udają, a za których aptekę sama księżna opłaca. Pomocnikami jej w tych dobrych uczynkach są dwie jej przyjaciółki, księżniczki Woronecow, Marya i Katarzyna, siostry rodzone, które też stale zamieszkują w Rzymie. Księżna Gagaryn, żona posła, a rodzona siostra pani Swieczyn, o której może słyszałeś, oraz księżna Helena Galicyn, liczą się też do najbliższych przyjaciółek księżny Zeneidy, i odznaczają się zarówno pobożnością jak i towarzyskim urokiem. Otóż wszystkie te panie formalnie *każolują* i rozpieszczają Adama. Ale co mnie zastanawia najwięcej, to, że jest w tém jakiś pewny odcień, którego nie spotykałem śród swoich; to jest, że przedmiotem tych owacyj nie są ani same jego pisma, ani nawet osobista genialność, ale jakby ogólny duch, którego on niejako jest przedstawicielem. I to mi rozwiązuje zagadkę, nad którą nieraz głowę sobie łamałem: jakim sposobem młody człowiek, bez wielkiego imienia lub fortuny, bez żadnych wyższych protekcyj i wpływów, owszem, w najniepomysłniejszych warunkach, mógł sam przez siebie, i w tak krótkim stosunkowo czasie, pozyskać taką przychylność i wziętość w społeczeństwie, które, nie rozumiejąc języka, samych pism nawet jego nie czytało. Prawda, że i on w tém towarzystwie jest jakoś niby inny, niż śród swoich. Jest w nim zawsze też sama prostota i swoboda w obejściu i w słowie; ale jest też zarazem i jakaś pewna godność i powaga, której nie przybiera ze swemi. A nie jest ona i tutaj przybrana; tylko że sama przez siebie, z rozumnego poczucia stanowiska swego wynika. Nie usuwa to wszakże zupełnie chwilowych czasem nadyman się lub fochów zepsutego dziecka; ale to tylko wtedy, kiedy mu zbytnią grzecznością

lub troskliwością dokuczają. Jest więc widać w ludziach jakaś tajemnicza potęga, której ani okiem nie dojrzysz, ani rozumem ściśle nie określiż, ale którą czujesz wyraźnie, i albo się jej z miłością poddajesz, albo uciekasz od niej z obawą lub wstrętem. Co to jest? Bóg wie jeden; a może chyba magnetyzm lepiej to kiedyś rozjaśni. A możnaby to, jak mi się zdaje, zastosować także mniej więcej i do rzeczy pisanych. Czytasz np. czyjś list albo książkę, (a coż dopiero wiersze), bardzo dobrze i gładko napisane, a przyjmujesz je tylko jak papier litery. Czytasz drugie, mniej zgrabne, a od razu ci idą do serca. W kim np. najmędrszy traktat religijno-moralny, obudzi taką żarliwość lub skrucbę, jak czasem jeden rozdział Tomasa à Kempisa? A czemu to tak? Nie wiem coby odpowiedział filozof; ale ja „mały żaczek, prostaczek”, tłómaczę to sobie przez ową piosnkę o koniu Kiejstuta, która, jak wiesz, powiada:

„Bo moc, co ramię na cięcie wyteża,
„Przechodzi i do oręża;
„Bo serce jeźdźca, na wojenném błoniu,
„Po połowie bije w koniu.
a więc czyżby nie można powiedzieć, że:
Uczucie, którym myśl i serce gorą,
W piszącym przechodzi w pióro...

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jednem słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. xięgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę, nie tylko literaturze, ale i całej społeczności naszej. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma i tajemnicze źródło jego siły, której żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą; chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż bieda, że nie we wszystkich jest ono w jednem i tém samym; ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa bieda jest w tém, że większą część ludzi, nie znając *se ipsum*, (samych siebie), źródła tego w sobie nie widzi, a zapatrując się na drugich, szuka go i myśli znaleźć w tém właśnie, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi. Człowiek znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, jest mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, jest prorok. Izrael nie był mędrcom w ogólności; wybujał w pychę, i oślepił do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataktały zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biedę, na którą zasłużył; i trzeba było lez wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przejrzał najjaśniej. Nie nienawidził on Chaldejczyków, ale miłował tylko Pana Boga swego ze wszystkich sił serca i duszy swojej. Blask w nim tej miłości i wiary, tego jedynego źródła wszelkich dawnych cnót i sił Izraela, zatarał niejako pamięć płochosci i pychy, tego źródła wszystkich win i grzechów jego plemienia, a obudziwszy nawzajem miłość i wiarę ku sobie w Cyrusie, uczynił go narzędziem miłosierdzia Bożego, jak poprzedniczego byli narzędziami kary Bożej. To byłaby treść duchowa tego poematu czy dramatu o Danielu, do napisania którego chciałem nakłonić Adama. Ale myśl jego w tych czasach zajęta jest innym przedmiotem. Jest zaś nim ni mniej ni więcej jak tragedia: *Prometeusz*. Adam myślał już nad nim, jak mówi, oddawna; ale przy dzisiejszym nastroju i poetycznym usposobieniu wewnętrzném, o którym wzmiankowałem już wyżej, wziął to znowu żywiej do serca, a oto z jakiego powodu. Ja pożyczyłem dla siebie od Szewirewa dzieło Brumoy „O teatrze greckim”, które i Adam od niechęcenia przeglądał, zajęty ciągle jeszcze czytaniem Liwiusza. To jednak przypomniało

mu widać Prometeusza; bo kupił sobie Eschylesa po grecku; i gdy raz powróciłem z teatru, na który on isé nie chciał, zastałem go siedzącego z podkurczonemi nogami na kanapie i kiwającego się jak rabin nad tą książeczką, rozłożoną na stole, której właściwie nie czytał, ale znać tylko medytował nad nią i ustawicznie do niej zaglądał. Wyraz jego twarzy przypomni mi ową pamiętną chwilę w Wilnie, o której ci tyle razy mówiłem, a od której się nasz bliższy stosunek zaczyna: kiedy przyszedłszy raz w wieczór, znalazłem go siedzącego z fajką przed piecem, a blask z pieca padając mu na twarz, nadawał jej jakiś urok nadziemski. Pisał on wtedy właśnie, jak wiesz, czwartą część *Dziadów*, o której dowiedziałem się wtenczas po raz pierwszy. Otóż przypomniałem mu ową chwilę, a on mi zaczął mówić o Prometeuszu, i nakoniec tłómaczyć, a raczej deklamować z zapalem, *à livre ouvert* z greckiego, scenę jego z Merkuryuszem, przysłanym doń przez Zeusa, który już go przykuł do skały, ażeby wymódz na nim wyznanie tajemnicy, od której miało zależeć utrwalenie potęgi Zeusa, albo wyzucie go z niej przez jednego z potomków, jak on sam wyzuł ojca swojego Kronosa, czyli Saturna. A coż to za przecudowna scena! co za moc! co za prostota! co za prawda! Groźby Merkuryusza grzmiały jak gromy Zeusa; ale w słowach skutego Tytana, technie pycha wyższa nad potęgę bogów. Gotów on jest uczynić zadość ich woli; lecz niech Zeus pierwój rozkuje go z kajdan. Inaczej, on sam wyzywa dalszą jego zemstę; on sam kreśli obrazy dalszych swoich męczarni; ale uraga z nich i z potęgi Zeusa; bo wie, czuje i woła nakoniec: „Zabić nie zdoła on mnie!”—Chór, który zrazu namawia go do uległości, wzruszony tą jego odwagą, sam staje przy nim i trwa aż do końca: chociaż już całe niebo grzmi i gore ogniem piorunów; choć cała ziemia wstrząsa się i pęka, i on sam wraz ze swą skałą zapada się w przepaść. Nie znam żadnej sceny w Szekspirze, a coż dopiero w innym jakim tragiku nowszym, coby z tą najdawniejszą porównać się mogła. Adam tak był wzruszony, że twarz i usta mu drgały, a lzy świeciły się w oczach, gdy nie już siedząc, ale zerwawszy się z kanapy i fajkę na stół rzuciwszy, kończył czytanie przy lampie, której światło padało na niego. Skończywszy, zaczął mi opowiadać główny zarys swojego planu. Nie będzie to ani tłómaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego, ale tylko daleka parafraza jego idei, zastosowana do chrześcijańskich pojęć duchowych. W treści zaś jest to odwieczna historia ducha ludzkiego, dobrej woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę, w zapasach z potęgami wyższymi, a raczej silniejszymi tylko od niego, których on ani uznac, ani im uleść nie chce, i nie może. To też zbawcą i oswobodzicielem Prometeusza jest u Adama nie kto inny jak Chrystus, syn Boga prawdziwego, który sam jest Duchem—najwyższym, najpotężniejszym, ale zarazem najlepszym; źródłem Prawdy i Miłości, w których tylko jest pokój, swoboda i szczęście, o które Prometeusz walczył z fałszywymi bogami, ale które z rąk prawdziwego ze złością i wdzięcznością przyjmuje. ¹⁾

Taka ma być główna treść tego dramatu; daj Boże tylko, aby go autor mógł rzeczywiście przyprowadzić do skutku, to jest, aby ten wir dwóch światów: staro i nowo-rzymskiego, który go tutaj w kolej porywa i kręci, zostawił mu dość czasu do przelania myśli na słowa, jak szkła na paciórki, i do ponizania ich w wiersze. Bo chociaż widzisz z tego, że—jak powiada Göthe w jednej ze swoich elegii rzymskich:

¹⁾ Przekonany jestem najmocniej, że scena *Improvizacji* jest zabytkiem i odbiciem głównej treści tego dramatu, który głęboko tkwił w duszy autora, ale nigdy napisanym nie został. (P. A.)

Es wird doch nicht immer geküsst, es wird auch vernünftig [gesprochen;
to jest, że nie tylko się ciągle bawimy, ale się też przecież coś czyta, i nie myśli się tylko o panienkach; zawsze jednak jest to zbyt wielka pokusa, aby się jej oprzeć na długo. A tymczasem dzień za dniem upływa; i kiedy człowiek codzień przed zaśnięciem przypomni sobie co wczoraj zamierzał na dzisiaj, a co dziś znowu odkłada na jutro, to czasem aż rozpacz ogarnia. Ale darmo! są pewne okoliczności i względy towarzyskie, które zmniejszają winę tego literackiego *farniente*, przez to, że same pochłaniają czas cały. Dam ci tu np. dla ciekawości dziennik, a raczej godzinnik, trzech dni poprzednich, i program trzech następujących, a z tego sądz sam czy nasza wina, że na właściwą robotę chwili jednej nie było, i prawdopodobnie nie będzie. *Dnia 20, Niedziela*. Dobrze że rano poszedłem do kościoła; bo ledwo powróciłem około 11, mając właśnie pisać do ciebie, kiedy wszedł nasz kochany, poczciwy Allan, który nas zawsze parę razy w tydzień odwiedza. Tuż za nim X. Parczewski wracający z kościoła; tuż za nim książę Radziwiłł; tuż za nim p. Wład. Zamojski; tuż za nim Strzelecki z elewem; tuż za nimi pp. Reimbowski i Olszewski, (znajomości z domu państwa Ankiewiczów), nakoniec zacny i szanowny przyjaciel nasz Statler, i kolega mój i sąsiad wiejski, Julian Karczewski, malarz;—słowem *raut!* A tu trzeba już na godzinę pierwszą być ubranym i isé na śniadanie do xięci Gagaryna. Szczęściem, że książę R. i p. Wł. Z., byli także proszeni, a więc wczas dali hasło do wyjścia. Śniadanie to, a właściwie obiad, (*dejeuner dinatoire*), było ku czci i ugoszczeniu nowego francuzkiego posła, hr. *de la Ferronnaye*, który tu od niedawna miejsce *Chateaubrianda* zastąpił. Ma to być święty człowiek z pobożności i cnót chrześcijańskich. To też oprócz kolegów-posłów: austriackiego, hr. Lutzow, hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador, i innych, których nie pamiętam, były aż trzy *Eminencye*, kardynałowie: *Pacea, Albani i Odescalchi*. Ten ostatni jest tu także *en odeur de sainteté* w opinii publicznej, i przepowiada ją powszechnie, że kiedyś dostąpi tyary. On sam wszakże nie tylko że do tego nie wzdycha, ale owszem, jak powiadają, chce się wyrzec kardynalskiej purpury, a przywdziać prosty habit zakonnego mnicha. W istocie z jego twarzy technie taka pokora i skromność, że Adam patrząc na niego, przypomniał o Św. Stanisławie Koscie, tém bardziej, że książę Odescalchi, chociaż starszy wiekiem od niego, jest przecież najmłodszym ze wszystkich tegożczesnych kardynałów. Że zaś hr. de la Ferronnaye był przedtém posłem w Petersburgu, a kiedyś, jako emigrant, przez długi czas mieszkał w Polsce, w Tulczynie: reszta przeto towarzystwa składała się z samych Rossyan i Polaków; między którymi był hr. Alfred Potocki, i slyszalem jak p. de la Ferronnaye wynurzał przed nim wdzięczność swoją dla rodziny Potockich. Inni też goście byli mu przedstawiani przez gospodarza domu, ale się to pospolicie na niemych ukłonach kończyło. Kiedy jednak książę Gagaryn, przedstawiając z kolei Adama, wymówił z wyraźnym naciskiem: *celebre poete polonais*, jubilat odezwał się do niego, że znał dawnych sławnych poetów polskich: Trembeckiego i—i... Nie mógł przypomnieć nazwiska. Adam poddał mu imię Bończy Tomaszewskiego, i on to z grzecznym ukłonem potwierdził.—Śniadanie trwało do godziny piątej; a że trzeba było koniecznie być dziś jeszcze na wieczorze u xiężny Zeneidy, a przedtém niemniej koniecznie chciało się choć zajrzeć na *Via Mercède*: wyszliśmy więc jedni z najpierwszych, chociaż z powodu ulewnego deszczu, musieliśmy stać na dole jakie z pół godziny, nim szczęściem nadjechał fiaker, który nas zawiózł do celu. Deszcz ten ciągly służył nam za exkuzę, żeśmy się już do xiężny na herbatę spóźnili; za toż ledwo o drugiej wró-

ciliśmy do domu.—Tak przeszła niedziela; a teraz masz *Poniedziałek*. Zaledwo zdążyliśmy się ubrać, zajechali po nas, wedle umowy, państwo Ankwiczowie z panienkami, i pojechaliśmy razem do Watykanu. Karete mają tak obszerną (spacerowe *lando*), że sześć osób mieści się wygodnie. Oglądaliśmy naprzód muzeum, a potem *Loże* i *Izby (loggie e stanze)* Rafaela. Ale żeśmy to wszystko nie pierwszy raz już widzieli, a z panienkami byliśmy tam raz pierwszy: więc nie dziw, że też panienki brały przedewszystkiemu pierwszeństwo. A wręcić, mój kochany! co ty chcesz, żebym ja tobie mówił kiedy o Watykanie? który sam jest jakby stolicą królowej wszystkiej stolic tego świata, Romy; który oprócz najpiękniejszych i najświetniejszych w świecie muzeów, galerij, biblioteki, i tylu a tylu różnych arcy-dziwów sztuki, mieści w sobie ni mniej ni więcej jak 13,000 sal i pokojów, rozmaitej wielkości; 20 dziedzińców, 208 wschodów; a co krążanków, ganeków, kurytarzy!!! Aj, mój kochany! Na samą myśl żebym kiedyś musiał pisać o tém, w głowie mi się jak w garnku przewracał. Dziś zaś właściwie to ci chcę tylko powiedzieć, że bawiliśmy tam aż do obiadu; że na obiad pojechaliśmy razem do państwa Ankwiczów, i że wnet po obiedzie musieliśmy wracać do domu, a żeby się przebrać na wieczór do xięstwa Sanguszków. Towarzystwo świetne i miłe; osób ze 30, sami polacy; a między nimi i nasze panienki, ma się rozumieć z rodzicami, którzy nas, także około godziny drugiej, w powozie swoim do domu nakoniec odwieźli. *Wtorek, 22 grudnia.* Raniutko liścik od xiężny Zeneidy, że korzystając z pogody chce nas zawieźć do *Villa Pamphili*, a potem do galerji *Borghese*, a potem na obiad do siebie, po którym mamy razemjechać na herbatę do xiężny Dietrichstein, na którą nas zaprosiła w niedzielę. Stało się wszystko podług tego programu, i znowu wróciliśmy po pierwszej. Zważ więc czy nie mieliśmy prawa spać dzisiaj prawie do południa. A oto za godzinę, o piątę, musimy iść na obiad do xięcia Radziwiłła w hotelu, a ztamtąd do Strzeleckiego na herbatę, i na *faraona* lub *kawa*;—bo się bawimy także niekiedy i w tę szlachetną rozrywkę, poniterując po bajoku do banku, w którym jest parę skudów rozmienionych na drobne. Adam wszakże lubi najlepiej kixa, który mu przypomina nasze niegdyś partye wileńskie, z *berżerką* i ze starą panią Kowalską (matką), która się z nim do upadłego kłóciła, że kręcił, choć graliśmy tylko na boby. Tu gramy niby na bajoki, (na krédkę), i zwykle tak wesoło, że się wszyscy naśmiejemy do woli, najczęściej z kosterskich figłów Adama, który ma w nich szczególną przyjemność.

Masz więc tedy przeszłość i terażniejszość; a teraz spojrzaj na trzydniową przyszłość, którą składają święta Bożego Narodzenia. Jutro, jako w dzień imienin Adama, solenizant powiada, że chce rano uciekać z domu od powinnowań i wizyt, i że jest zaproszony na kawę do xiężny. Pójdę więc i ja w *podwódce*—ma się rozumieć, naprzód do kościoła. Potem grzeszność i zwyczaj każą pójść przeciw lamaczom i opiekom ze swoimi, i podziękować między innymi państwu Potockim za inwitacyę na wigilię jutrzejszą, z której nie możemy korzystać dla tego, żeśmy już przedtęm zamówieni na *Via Mercede*, gdzie także jest vice-solenizantka, drugo-imienna Ewunia. A mamy też i pierwszorzędną w osobie pani Eweliny Dernałowiczowej, którą ja zwłaszcza, najczęściej jak mogę odwiedzam. A dzieje się to nie tylko ze względów światowych, ale też w części, nie chwając się, *et per charitatem*. Zdrowie jej coraz gorsze; tęsknota coraz większa; a mąż nudząc się z chorą, rad szuka pociech w salonach przy weselszych i zdrowszych. Ja więc, jako dawny znajomy, który jej przypomina szczęśliwe chwile warszawskie: czując się zawsze pożądanym, mam też za obowiązek być jej częstym gościem. Zdarza się wprawdzie czasem, że mi się iść nie chce; ale nigdy nie pożało-

walem żem przyszedł. Wigilia zaś u państwa Ankwiczów ma być zwłaszcza ku uczczeniu Adama, jako solenizanta, i ma być całkiem podług rytuału polskiego. O północy mamy pojechać razem na *Pasterkę*, do *Santa Maria Maggiore*, gdzie się ona najuroczyściej odprawia. Na pierwszy dzień solenne nabożeństwo w kościele św. Piotra, gdzie może przeciw obaczmy Papię, jeśli mu zdrowie celebrować dozwoli. Na obiad zaproszeni jesteśmy do xięstwa Sanguszków, a wieczorem wszyscy polacy mają być u państwa Ankwiczów. Drugiego dnia obiad u pani Klustin, jako w oktawę dnia urodzin xiężny Zeneidy, a wieczorem *grand bal* u państwa Potockich, na którym ma być cała *Signoria* rzymska, i mają śpiewać najświetniejsi śpiewacy tu-tejsi. Boję się, czy sił nam starczy na te wszystkie fety. A cóż dopiero będzie w karnawale? który ma być świetniejszym niż kiedy, dla wynagrodzenia za przeszłoroczny, którego wcale nie było, z powodu śmierci papię, Leona XII. Wszyscy posłowie mają dawać bale; a że każdy poseł ma zwykle po kilkanaście biletów dla rozdania ich komu zechce, choćby ci goście wcale gospodarzy nie znali; a zwłaszcza że panna Henryetta ma właśnie odbywać na nich pierwsze swoje *entrée dans le monde*; rzecz zatem naturalna, że będziemy woleli asystować jej na te bale, niż się męczyć z Prometeuszem przy skale. *Sat sapienti — i Vale.*

PRÓBKA SŁOWNIKA JEZYKA POLSKIEGO.

Każda, najmniejsza nawet pamiątka po człowieku takiej powagi i znaczenia jak Adam Mickiewicz, zasługuje na upowszechnienie. Tą powodując się myślą, umieszczamy poniżej krótkie określenie wyrazu „Cnota” według autografu nigdzie dotąd niedrukowanego. Z jakiej zaś okoliczności urywki ten skreślony został, wyjaśnia następny przypisek Feliksa Wrotnowskiego, na samym autografie umieszczony.

„Okolo roku 1844 zabierało się tu w Paryżu między nami na robotę słownika polskiego, który miał być skróceniem Lindego, z potrzebnymi zmianami i dodatkami. Przedsiębiorca nakładu, Eustachy Januskiewicz, zasięgał w tem rady Adama Mickiewicza; ten, po jednej rozmowie ze mną, jakby należało traktować wyraz, przesłał Januskiewiczowi dorywczo skreśloną niniejszą próbkę”:

Cnota.

Źródłosłów. Zaimek *co, co—on, co—ony* (ct. cenny, cny), *coś, czemś będący, quidam*. W ruskim narzęczy jest przeciwne temu *ничтожный*, nequam, lada-co. Stąd idzie *cnosć* zatracone, pozostałe w pochodnem *za-cnosć* (nb. *za* jest przyrostek np. *za-możny, za-wzięty* i t. d.) (ct. *cena*).

Znaczenie główne: *Cnota (valeur), cena człowieka jako osoby, jednostki, objawiającej się w działaniu duchowem, towarzyskiem, polskiem.* W znaczeniu ściślejszem: życie człowieka wedle pewnych prawideł religijnych, lub rozumowych, lub zwyczajowych. Wyraz ten jest właściwie i wyłącznie *polski*, wśród innych narzęczy słowiańskich wyosobniony. Z ciągiem życia polskiego narodowe znaczenia swoje rozszerzał, lub ścieśniał. Wyraz ten nie znajduje się w żadnej pieśni gminnej—jest piśmienny.

Dzieje wyrazu. W dawnych pisarzach, aż przez wiek Zygmunta, *cnota* znaczy to, co u Żydów *chodzenie* w zakonie, *zakon* (w Bibliach, w Reju, w Budnym, w Skardze, w Kochanowskim). „Którzy *cnotę* (zakon) w każdej swej sprawie przestrzegają”, (Jan Kochanowski, Psalm). W tłumaczach z łacińskiego znaczy toż co *virtus* (romana), *tegość charakteru*. U tłumaczów poezji średniowiecznych, rycerskich, znaczy to, co *honor* np. u Piotra Kochanowskiego: „Rycerz *cnotliwy*” *un chevalier accompli*.

U pisarzy pozygmuntowskich, *cnota* jest pełnienie przykazań kościelnych. *Hetman cnotliwy*, znaczy *miłosierny*, zachowujący posty, hojny dla zakonów. *Pani cnotliwa*, jałmużnica, fundatorka zakonów i bractw. U pisarzy ówczesnych potocznych, w pamiętnikach, *cnota*—zrealizowanie ideału ówczesnego szlachcica: *śmiałość, hojność, uprzejmość*. *Cnotliwy, bon camarade* (obacz Paska).

Za Stanisława Augusta u wielkich pisarzy, Trębeckiego, Krasickiego, Naruszewicza, *Cnota*—życie w systemacie politycznym króla. Od konfederacyi Barskiej, a mianowicie od sejmu konstytucyjnego, *cnota* jest toż samo co *patriotisme, civisme*, bez żadnego względu na religijność lub moralność (obacz głównie Niemcewicza); to znaczenie staje się ogólnem. Tylko tłumacze i naśladowcy biorą w znaczeniu dawnem np. Karpiński w znaczeniu jako *sanctitas*. *Tragedy* w znaczeniu *virtus*. „Rzymianin umrze wolny, bo tak każe *cnota*” (Chodkiewicz).

Od r. 1815 rzadko używany, bez pewnego znaczenia, zaczyna zatracać się. Dawne znaczenie główne nie wystarcza, nowe nie wyrobione.

Znaczenia szczegółowe. 1 *Cnota*—siła ducha: „Tajemna *cnota* głosu (szatanowi) i członki używa” (Krasicki). 2 U pisarzy z francuzialych, *cnota*—filozofia francuska: „*cnotliwemu* wolno być bezbożnym” (Węgierski). 3 *Cnota kobieca*—czystość ciała. Od przeszłego wieku już i w pismach o kobietach, *cnota* znaczy często *patriotisme*. 4 Własność dobra zwierząt lub ciał *idąca z ducha*, stąd sierść lub blask, choćby najcenniejszy, nie nazywa się *cnotą*.

Nigdy ten wyraz nie stosował się do chłopa (pocziwy)—żyda (łebski)—cygana (zmyslny), ani do żadnego człowieka obcego narodu—(wyjąwszy u tłumaczów).

Co do zwierząt używa się tylko wyłącznie o koniu i psie. Co do roślin i ciał nieorganicznych: tylko o ciałach czarodziejskich, lekarskich, kamieniach drogich (jako talizmanach) i lekarstwach. Co do sprzętów—tylko o strzelbach i rynsztunku wojennym. Nie można mówić: *cnota* słowika, lub gołębia, lub zegara i t. d.

O WINOROŚLI A WIAZIE

PRZYPOWIEŚĆ NADOBNA.

Człek sprawiedliwy który Panu służy,
Hermaś, cierpliwy pątnik, w swej podróży
Winorośl bujną ujrzy raz, a oto
Krzew ten, przedziwną prątki swe robotą
W koło gałęzi wiazu tak obwiye,
Że ani wiesz już: gdzie są liście czyje?
I tylko zewsząd opływają w słońce
Grona, złocistym płynem pęczniące.
Na co gdy patrząc pątnik stał wśród drogi,
Pan się pojawi przed nim, Pasterz błogi,
Irzeknie: „Toć jest wszechmądrości sprawa.
Winorośl ona bujny owoc dawa,
Ów zaś bezpłodnie sobie trwa na świecie;
Lecz gdy krzewinie drzewo odejmiecie,
Dołem po ziemi czołgać się zmuszona
Mniej rodzić będzie, i mniej słodkie grona.
Więc gdy w nim pomoc jej i skarb jedyny,
Tedyć i wiaz ten nie mniej z jej przyczyny
W owoc jest płodny.” Więc Pan dalej rzecze:
„—Z przykładu tego bierz naukę cłeczce:
Człek majątności syt, w obliczu Pana
Biednym jest, bowiem skarbowi w moc oddana
Dusza, mniej waży boskich spraw powaby,
I głos modlitwy jest w jej ustach słaby.
Lecz bogacz, słuszną gdy biednemu złoży
Cząstkę, to ten znów, jako skarbnik Boży,
Z modlitw zapasu za nim się przyczyni,
A Bóg mu w niebios będzie rad świątyni;
I tak ci oba społem, jako owa
Płonka, co z drzewem bratnią zgodę chowa,
Podwójnem życiem w wspólny byt związanem
Płodnymi w czyni stają się przed Panem —
Ten się jałmużną modląc łasce Nieba,

Ów zaś modlitwą placąc co potrzeba' —
Co gdy usłyszał Hermas człowiek prawy,
Szedł w dalszą drogę wielbiąc Pańskie sprawy.
Felicyan.

ODRODZENIE.

Jak wiatr szalony w państwie natury
Wszystko w wir wprawia i zamieszanie;
Tak walka myśli w zamęt porury
Porywa ducha — w swoje otchłanie

Jakieś go ciągną poznania żądze;
I już dna sięga — już, już odmyka
Dźwignią rozumu tajni wrzeczadze,
Aż na dnie wiedzy — znowu dno znika.

I coraz głębiej w zakres nieznaną
Myślą upartą człowiek przenika,
By w końcu, walką już zmordowany,
Zdobyl odpowiedź: „niema pewnika”.

A wtedy, w owym rozstroju ducha,
Co go zuchwałosc rozumu rodzi,
Człowiek jest niby ta gleba sucha,
Na której żadne ziarno nie wschodzi. —

O! wtedy, — wtedy życie wlać może,
By w zeszlą ziemię deszczu majowy,
Jedynie ufność w Twe słowo, Boże!
Pełne uroku nadziei nowój.

I słowo Boże w ducha przejęte,
I słowo Boże w czyn przerodzone,
Rozjaśni myśli ciemnią objęte
I jasną życia odsłoni stronę.
J. W-ner.

KORRESPONDENCYE.

Z Petersburga 26 Kwietnia (8 Maja) 1873 roku.

III

Peświenienie nowego kościoła. — Pobyt poselstwa Japońskiego i Cesarza Niemieckiego. — Mrozy w Kwietniu i niezwykle późne przejście Newy. — Oczekiwanie Perskiego Szacha.

Przed kilku laty powstał projekt przeniesienia z Mohylewa do Petersburga Rzymsko-Katolickiej archi-katedry z kapitułą i konsystorzem na tej osnowie, że Arcybiskup Mohylewski, będąc razem Metropolita wszystkich Rzymsko-Katolickich kościołów w państwie Rosyjskiem, ma stały pobyt w stolicy. Na zbudowanie w Petersburgu osobnego na ten cel kościoła, oraz domu dla kapituły i konsystorza, asygnowano było ze skarbu, z kapitałów poduchownych, 375,000 rs. Otóż po ukończeniu wszystkich robót, nowo wzniesiony, pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Boskiej, kościół w dniu 12 (24) Kwietnia roku bieżącego, przez J. W. Arcybiskupa Mohylewskiego, Antoniego Fijałkowskiego, w asystencyi całego duchowieństwa, w obec wielu dygnitarzy i licznie zgromadzonego ludu, z wielką okazałością poświęconym został. Sędziwy nasz areypasterz, odprawivszy osobiście całe nabożeństwo, trwając przez sześć godzin, zakończył obrząd stosowną do okoliczności, w języku łacińskim, mową. Chór złożony z najlepszych śpiewaków stolicy, w połączeniu z dobrą orkiestrą, wykonał, pod przewodnictwem znanego artysty p. Głowacza, wielką mszę i hymn dziękczynny „Te Deum”. Zbudowany według planu architektury p. Sobolszczykowa, na placu należącym do Rzymsko-Katolickiego duchownego kolegium, przy ulicy, zwanej *pierwszą rotą Izmajłowskiego pułku*, wspomniany kościół nie przedstawia wyraźnych, dających się ściśle określić, kształtów, w których jednak styl Bizantyński widocznie się przejawia. Ołtarz jest cztery z których trzy: Wniebowzięcia Matki Boskiej, Św. Józefa i Św. Antoniego Padewskiego, są w samym kościele, czwarty zaś Pana Jezusa — w kaplicy, przeznaczonej dla przechowywania Najświętszego Sakramentu. Wielki ołtarz wyrobiony jest z marmuru białego, wszystkie zaś inne, jak również: ambona, tron biskupi, konfessionały i krzesła dla członków kapituły kunsztownie z dębu są wyrzeźbione.

Obrazy stanowią kopije z utworów Murillo i innych wielkich mistrzów. Organy, sprowadzone z Niemiec za 6500 rs., zalecają się wielu przymiotami. Posadzka z tafli dębowych, świeczniki, żyrandol i wogóle całe wnętrze kościoła bardzo ozdobnie wygląda. Żałować jednak należy, że kościół mający być w niedalekiej przyszłości archi-katedralnym, nie więcej jak od 600 do 700 osób zmieścić w sobie może; że zaś połowa całej przestrzeni na prezbiterium jest zajęta, dla modlącego się więc ludu zbyt mało pozostaje miejsca. Świątynia ta wiele traci jeszcze i na tem, że będąc połączona z domem, który ją od ulicy zasłania, i mieszcząc się na piętrze, ma główne wejście przez drzwi, prowadzące również do konsystorza i mieszkań; bardziej więc do domowej kaplicy niż do kościoła jest podobną. Dla tego to umieszczone w niszach, na zewnętrznych ścianach, brązowe cudnej piękności posagi, sprowadzone za znaczną sumę z Paryża i wyobrażające Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, czterech Ewangelistów i niektórych Apostołów, od ulicy nie są widzialne. W każdym wszakże razie zbudowanie w Petersburgu piętego z rządu katolickiego kościoła, przy ludności tego wyznania przewyższającej 20,000 osób, jest wielce pocieszającym faktem, tem bardziej, że wszystkie istniejące tu kościoły, w dni niedzielne i świąteczne, przepelnione są ludem.

Ostatniemi czasy Petersburg przyjmował wiele znakomitych gości. W miesiącu Marcu bawiło tu przez parę tygodni poselstwo Japońskiego Monarchy, który coraz to chętniej zawiązując z Europą stosunki, przeistoczył swój kraj, zaprowadzając w nim nowy system publicznego wychowania, administracyi, sądownictwa i żołnierki. Przed laty kilkunastu widzieliśmy już tu Japońskie poselstwo, złożone z ludzi mało okrzyszanych, wtedy gdy terazniejsi przedstawiciele Japonii wykształceniem swem, mową i strojem zupełnie są do Europejczyków podobni, i gdyby nie rysy twarzy, zdradzające Azyatyckie ich pochodzenie, niktby narodowości ich nie odgadł. Podczas pobytu swego w Petersburgu odwiedzili oni prawie wszystkie tutejsze przybytki nauki i sztuki, z zamilowaniem korzystając z różnorodnych skarbów wiedzy.

Ale oto i nowi, całkiem już ucywilizowani, goście do Petersburga zawitali: 15/27 Kwietnia odbył się uroczysty wjazd Cesarza Niemieckiego Wilhelma I-go, w towarzystwie kanclerza Księcia Bismarka, feldmarszałka hr. Moltke, i wielkiego orszaku pruskich generałów i oficerów. Po całej drodze wiodącej od dworca kolei żelaznej do zimowego pałacu, w którym goście się zatrzymali, porozstawiane były wojska, całe miasto przybrało się w chorągwie, dywany, miejscami zaś w kwiaty, krzewy, cyfry, popiersia i inne ozdoby. Tłumy ludu zalegały ulice, a kapela wojskowa, co kilkanaście sążni stojące witaly przejeżdżających pruskim narodowym hymnem: „Heil Dir im Siegeskranz”. Przez cały kilkunasto dniowy pobyt Cesarza Niemieckiego, miasto nie zdejmowało świątecznej swej szaty. Kilkakrotnie urządzone były świetne illuminacye, widowiska teatralne i przeglądy wojska; na jednym przeglądzie było 50,000 żołnierzy. Dworzeństwo dawało bal na 2400 osób; nakoniec odbył się pod gołym niebem koncert zwany *zorzą wieczorną*, z udziałem 2500 muzykantów wojskowych. Położony przed pałacem zimowym plac, na którym koncert ten 17/20 Kwietnia o godzinie 10 wieczorem, przy elektrycznym świetle się odbywał, tak dalece przepelniony był ludem, że utrzymanie porządku dwóm pułkom żołnierzy poleconem było. Nie wiadomo jakie wrażenie sprawiła na gościach petersburska pogoda, gdyż w pierwsze dni ich pobytu, mrozy do 10^o/10 Ream. w nocy dochodziły, a Nowa lodem jeszcze pokryta, puściła zaledwie 19 Kwietnia (1 Maja). Obecnie czynią się przygotowania na przyjęcie Szacha Perskiego, który jedzie do Petersburga na czele

orszaku, składającego się z 50 osób. Jest to pierwszy przykład wyjazdu Szacha z rodzinnego kraju.

Artur Dolński.

Lwów 1-go Maja 1873.

W początkach Marca mieliśmy tu Wystawę obrazów Henryka Rodakowskiego, na dochód ubogich naszego miasta. Trwała czas krótki, niektóre bowiem obrazy przeznaczone były na Wystawę powszechną do Wiednia; została jednak na wszystkich prawie zwiedzających silne wrażenie, jakiego i ja doznałem i pragnę się niem podzielić z czytelnikami Kroniki Rodzinnej. Nie omylę się jeśli powiem, że Rodakowski jest u nas pierwszy po Matejce historyczny malarz, a jako potrecista nie ma, nie tylko u nas ale i w Europie, równego sobie.

Na wystawie znajdowały się portrety osób należących do rodziny malarza, kilka portretów przyjaciół, „Wojna Kokosza” akwarelle i szkice.

Portrety odznaczają się podobieństwem, wyborną charakterystyką, życiem ujętem w linije klasycznej prawdziwie poprawności i kolorytem pełnym harmonii. Portret matki artysty wyobraża niewiastę w średnik wieku, z rękami założonemi na łonie, w postawie stojącej, ubraną w skromną czarną suknię. Układ jest pełen prostoty, a przecież mistrzostwo pędzla wydobyla z niego najwyższy efekt piękna i prawdy. Swojego czasu portret ten na wystawie Paryskiej otrzymał pierwszy złoty medal. Drugi portret, pani Beaty Sängera, ciotki Rodakowskiego, jeszcze lepiej malowany od poprzedniego, wyobraża staruszkę siedzącą, w czepku i w kapeluszu, ubraną w brunatnego koloru suknię i takiejże barwy pelerynkę, futrem obłożoną. Na kolanach książka do nabożeństwa i okulary. Wyraz twarzy okazuje dobroć i szlachetność. Rysunek portretu bez zarzutu, karnacja wyborna.

Portret żony malarza, wyobraża niewiastę ubraną w czarną jedwabną suknię z wyciętym gorszem, bez rękawów, w postawie stojącej. Drugi portret żony, na koniu, zrobił Rodakowski akwarellą. Portret pasierbicy, panny L. B. w aksamitnym czarnym okryciu z czerwona podszewką, zdaje się występować z obrazu. Draperyje wykonane z ogromną dokładnością. Portret brata malarza, półkownika wojsk Austriackich, w mundurze ulańskim, w kracusce na głowie i w futrze, ma zalety jakich szukaćby trzeba chyba u Van Dycka. Dziarskość i siła mężka w obliczu, szlachetność ruchu w postawie występuje na tem płótnie z niezwykłą wiernością natury. Już to Rodakowski jest w malarstwie przedewszystkiem realistą, ale nie tym realistą, który wszystkie brudy życia i przyszeze na twarzy maluje, ale realistą z wykształconym do najwyższego stopnia smakiem, pod którego pędzlem przedmiot nie traci nic ze swojej rzeczywistości, a przecież upięknionym jest duszą na zewnątrz wydobytą, charakterem który odgadywać potrafi tylko mistrz takiej wartości jak Rodakowski.

Prócz wymienionych znajdują się jeszcze następujące portrety na wystawie: Wizerunek „Kaznodziei” w stroju czerwonym biskupim, wyobraża starca z długimi, siwymi włosami. Oblicze każącego na ambonie, jedną ręką wspierającego się na wielkiej księdze, a drugą wskazującego na kościół, jest spokojne, pełne przekonania o prawdzie a ożywione miłością. Karnacja ciepła, sutanna, księga, mury kościelne robią takie złudzenie, że widzieliśmy osobę, która ując chciała księgę, nie podejrzewając, że jest malowaną. — Portret księcia Aleksandra Czartoryskiego również jest dobry. Twarz znużona, postawa arystokratycznie nachylona, ręce jak na wszystkich obrazach przesłusznie wymalowane. Ostatni wreszcie portret wyobraża Leona Kaplińskiego, zmarłego przed kilku tygodniami w Miłosławiu, w gościnnym domu Mielżyńskich. Kapliński był przyjacielem Rodakowskiego i na pamiątkę tej przyjaźni odmalowany portret, zaliczany jest do najlepszych utworów jonalnego artysty. Kapliński wyobrażony jest w postawie

stojącej, w czarnym ranném ubraniu, w białej, haftowanej chustce na szyi i szalem opasany. Twarz pełna myśli i smutku. Co do wykonania, żeby się nie powtarzać, powiemy krótko, że nie zostawia nic do życzenia. Każdy szczegół wykonany starannie, a całość przedstawia się jako najpiękniejsza zgoda tych wszystkich szczegółów.

Z historycznych obrazów Rodakowskiego, wspomnieć nam wypada o obrazie przedstawiającym Jana Sobieskiego, a przed nim na kłęczkach, błagających o pomoc przeciw Turkom: nuncjusza papieskiego i posła cesarza niemieckiego. Obraz ten jest własnością hr. Ksawerego Branickiego i znajduje się w zamku Montrésor we Francji; tu na wystawie jest piękna litografia z tego obrazu.

Drugi wielki historyczny obraz wymalował Rodakowski w roku zeszłym. Wypadek, który natchnął myśl do tego obrazu, tak opisuje Józef Szujski w „Dziejach Polski”: „Najdramatyczniejszą chwilą była tak zwana *Wojna Kokosza* czyli rokosz szlachecki pod Lwowem. Szlachta zebrała się dnia ostatniego Sierpnia (1537) na polu pod św. Jerzym, wybrała komisją do spisania artykułów swoich (Orzechowki z rzymska nazywa je plebiscita) i wręczyła je królowi przez Marcina Branickiego, pisarza ziemi lwowskiej. Plebiscyt szlachty mieścił 35 punktów.... Główne punkta tyczyły się metryki, cła, dóbr królowej. Żądano między innymi, aby kanclerski i podkanclerski urząd komu innemu powierzono. Szlachta oświadczyła, że do wojny w granicach jest gotową, ale za granicę nie pójdzie, chyba za wynagrodzeniem pieniężnym. Kilka dni naradzał się król z senatorami, wreszcie w głównych punktach ustąpić musiał. *Dnia 9 Września ogromny tłum szlachty napelniał podwórze i przedsionki zamku lwowskiego, król strapiiony wyszedł z komnat i na wschodach zamkowych usiadłszy, Janowi Tarnowskiemu odpowiesz swoją odczytać kazał.*” Tę to chwilę proklamacyi królewskiej wyobraża scena na obrazie zwanym „Kokoszą wojną.”

Postać Zygmunta I siedzącego w krześle wspaniała i sympatyczna. Król siwą głowę od troski pochyloną oparł na jednym ręku i zdaje się przeczuwać: do czego doprowadzi ograniczenie władzy królewskiej i jakie mieć będzie skutki anarchia, której dziełem były spory i uchwały przezwane „Kokoszą wojną.” Przy balustradzie plecami obrócony do widza, ubrany w aksamitną ciemną-zieloną delią, Jan Tarnowski, hetman wielki koronny, czyta na dole zgromadzonej szlachcie postanowienia królewskie. Część tylko twarzy hetmana odsłonił artysta, ale całej postawie nadał wielką godność i powagę. Za krzesłem królewskim stoi Bona, pyszna, zimna, nieugiętej woli, wystrojona w drogocenne materye. Ogon białej atlasowej jej sukni, pokrytej materyą niebieską złotem haftowaną, trzyma przesłizny pazik, za którym kilka dam dworu równie strojnie ubranych. Bona ma minę tryumfatorki. Spoglądając na swego ulubieńca Piotra Gamrata biskupa przemyskiego mówić zdaje się słowa: „jacy oni nierozsądni.” Gamrat pochylony, z rękami załamane robi wrażenie układnego dworaka. Charakterystyka wszystkich osób na obrazie jest mistrzowska, zdaje się atoli, że najlepiej jest ucharakteryzowana głowa Piotra Kmity, marszałka, wychylająca się z po za Gamrata. Duma, pewność i butność w niej ma swe siedlisko; to jak powiada autor „Barbary:”

„Wódz burzliwych duchów

Sam sprawcą jesteś ciągłych w narodzie rozruchów,
Tyś, jątząc na Zygmunta piotrkowkie obrady,
Pierwszy królewskiej władzy podkopał zasady.
Tyś później, przeciw niemu sprzysięgłszy się z Boną,
Podburzył pode Lwowem szlachtę uzbrojoną:
Naród stracił Wołochy na obrony zwłóce,
A ty zasianych niezgód zebrałeś owoce.”

Z drugiej strony krzesła królewskiego stoi Prymas, w bogatej infule i w ornacie z pastorałem w ręku; dalej siostrzeniec Zygmunta

Albert pruski, Firlej hetman, zakonnik i ryce-
rze z orszaku. Na balkonach zamkowych i w oknach widać głowy ciekawych, przez balustradę zaś, na dole, tłumy szlacheckie i w doskonale zachowanej perspektywie powietrznej okoliczne wzgórza, oraz niebo obłokami zasute, rzucające na grupy ludzi łagodne, jesienne światło. Oświetlenie, ugrupowanie okazuje czystość smaku i wielką elegancją. Koloryt jest spokojny, nie płonący jak u Matejki zarzami weneckiej szkoły, świetny jednakowoż i bardzo miły dla oka. Aksamity, jedwabie, złote tkaniny, futra, stal, mury zamkowe, dywany, lw na balustradzie, pies spoczywający u nóg Bony, każda drobnostka, każdy szczegół jest narysowany i wymalowany doskonale. Nigdzie nie ma przesady, nigdzie tłoku, jest życie i ruch dramatyczny, a we wszystkim miara artystyczna.

Słusznie zwróciło uwagę jedno z pism tutejszych, że ta miara artystyczna, ta powściągliwość klasyczna, dowodząca wielkiego wykształcenia w artyście, jest główną cechą jenjuszu Rodakowskiego. Matejko ma szeroki pędzel, nie pyta o reguły, o środki, on je tworzy i tworzy doskonale, ale też przy tem, jak każdy wysokiej samodzielności jenjusz, popełnia błędy, które się rzucają w oczy; Rodakowski nie przekracza nigdy przepisu estetycznego, zna tajemnice wszystkich sposobów tworzenia i dla tego błędu u niego trudno dopatrzeć, chociaż, rozumie się, i w jego dziełach znaleźć je można. Mniejszej samodzielności, słabszego natchnienia i łagodniejszego nateżenia jenjusz niż Matejki, ale za to działa w nim umysł posiadający większą czystość smaku i znaczniejsze wykształcenie niż to, które w sobie wyrobił autor „Batorego”, — obaj wielcy mistrze, których zasługą odrębna polska szkoła malarstwa stała się faktem.

Prócz olejnych obrazów znajdują się na wystawie: koń modelowany (rzeźba) przez Rodakowskiego; szkic olejny wyobrażający allegoryę z dziejów naszych; projekta szkiecowane dekoracyjne (sumienie, obowiązek, miłość i praca); szkice kompozycyi z Iliady i Odyssei; rysunek kredą i wreszcie jedenaście akwarelli, wyobrażających typy ludowe i żydowskie ze Wschodniej Galicji. Akwarelle są doskonale robione. Typy przewyborne. Ow gajowy, parobek, włódark, niosący pocztę chłopek, snycerz wiejski, gospodarz, arendarz, roznosiciel telegramów, żywcem schwytni zostali na papier. Charakter oddany z wiernością i trafnością zupełną.

Henryk Rodakowski po wieloletnim pobycie za granicą, a zwłaszcza w Paryżu, gdzie go ceniono i wynagradzano medalami i orderami za obrazy, które liczono zawsze do pierwszorzędnych, powrócił na stałe mieszkanie do Lwowa. Lwów jest jego miastem rodzinnym. Tu też, nie wątpimy, działalność swoją artystyczną rozwinie w sposób korzystny dla przyszłości sztuki naszej. Jak w Krakowie w około Matejki, tak we Lwowie w około Rodakowskiego zgromadzą się młodzi malarze i wspólną pracą kształcić i wyrabiać będą smak estetyczny w narodzie.

Po karnawale bardzo wesołym, wraz z postem, nastąpiły odczyty i wykłady naukowe oraz literackie. Urządzanie ich wchodzi coraz więcej w zwyczaj. Już nie tylko w Krakowie i we Lwowie, ale i po mniejszych, powiatowych miastach bywają odczyty i wykłady przez miejscowych nauczycieli i urzędników, na różne dobroczynne cele organizowane. Nie zgromadzają one tyle słuchaczy ile naprzykład w Stanach Zjednoczonych Ameryki, wszakże zainteresowanie się nimi wzmagą się z każdym prawie rokiem i wkrótce staną się one podobnie niezbędnymi u nas jak w tejsze Ameryce.

Ile ten, dawniej mniej znany, sposób popularyzowania nauki, przyczynia się do rozszerzenia oświaty, mówić tu nie potrzebuję; wskażę jednakowoż na jedną jeszcze korzyść odczytów i publicznych wykładów, dla tego, że na ten

rodzaj ich pożytku nikt uwagi nie zwrócił. Oto, nie tylko oświecają one umysły słuchaczy, żywym słowem szerząc naukę i wiedzę, ale prócz tego wykształcają samych prelegentów w upadłej u nas umiejętności publicznego przemawiania. Profesorów którzyby dobrze wyłożył, prawodawców którzyby pięknie wsejmie i na zgromadzeniach mówić umieli, jest u nas bardzo mało; należy się spodziewać, że upowszechniający się zwyczaj odczytów i wykładów publicznych, wyrobi nam nie jednego zdolnego oratora i profesora.

Pozwólcie mi, dla scharakteryzowania tegorocznych we Lwowie odczytów pomówić o nich dłużej. Wprawdzie nie jest to przedmiot wdzięczny i dla lekkiego czytania odpowiedni; nie odstępuję jednak od niego przez wzgląd, że dla pisma poważnego jakim jest „Kronika Rodzinną” nie może być obojętnym żaden objaw życia umysłowego.

Mieliśmy tegorocznego postu trzy serye odczytów. Pierwsza urządzoną została w wielkiej sali ratuszowej na rzecz „Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy uniwersytetu lwowskiego”; drugą seryą odczytów w tejsze sali urządził oddział lwowski „Towarzystwa Pedagogicznego”, przeznaczając je przede wszystkim dla kobiet; trzecią seryą odczytów urządziło w sali Zakładu Ossolińskich „Towarzystwo Świętego Wincentego a Paulo” na rzecz rodzin wstydzących się żebrac.

Najliczniej uczęszczane były odczyty Towarzystwa bratniej pomocy, a najmniej uczęszczane odczyty towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Na ostatnich bywały osoby z arystokracji i księża, młodzieży bardzo mało, pomimo, iż nie jeden wykład dla niej przeznaczony, byłby ją tam nauczył rzeczy, o których ze szkoda swoją zapomniiała.

Odczyty towarzystwa bratniej pomocy studentów uniwersyteckich, rozpoczął profesor chemii w uniwersytecie: p. Bronisław Radziszewski, wielce nauczającym wykładem „o paleniu się ciała w powietrzu” połączonym z doświadczeniami, które przy pomocy asystenta, p. Zaleskiego, wykonywał umiejętnie i z wielką elegancją. Nie będziemy powtarzać treści dwóch jego wykładów ani powtarzać doświadczeń, pomiędzy którymi były pomysły samego prelegenta, jak np. eksperymet palenia się fosforu pod wodą i zapalenia wodorku fosforu na wodzie za pomocą tlenu, któremu towarzyszyły lekkie eksplozye; ale nie możemy się wstrzymać, ażeby nie podać wam w streszczeniu pięknych słów, jakimi profesor Radziszewski zakończył swoje wykłady. Podniósł on w nich przede wszystkim dwa wyniki płynące z rozważania ogółu faktów tyczących się palenia ciała: 1. Ciągłe przeobrażanie się materyi, 2. niespożytelność siły, która polega na przechodzeniu jednego sił w drugie. Ta rozmaitość tworów i zjawisk powstałych z ciągłego przeobrażania się materyi, sprzężona jednością niespożytelnej siły, ta rozmaitość w jedności, stanowi harmonję wszechświata. Ta harmonja jest zasadniczą treścią realnego piękna natury. Aby to piękno można z całą swobodą uwielbiać, potrzeba tylko wiedzieć gdzie i jak go szukać. A istnieje ono wszędzie, zarówno w tem co zmysły i ducha naszego napawa rozkoszą, jak i w tem, co w nas wstrętne obudza wrażenie.

„Kropla rosy, mówi Auerbach, zachwyca nas wdziękami swemi, gdy zawieszona na listku róży załamuje promień wschodzącego słońca... Ale miliony takich kropek padając na miejską kurzawę, mieszają się z nią i stanowią wstrętne błoto.” Dla człowieka jednak przywykłego głębiej wpatrywać się w przyrodę i w tem brzydkim błocie istnieją przezroczyste krople wody z całą przyszłością wdzięków swoich; potrzeba tylko użyć umiejętnych środków, aby te krople z pyłu wydobyć a wnet staną się ozdobą kielichów kwiatowych, lub skryształone na gałązkach drzew, wzrok nasz nęcić będą powabem siedmiobarwnej tęczy. Tak, zachwyca nas boskość natury w człowieku wówczas, kiedy

się ona iskrzy szlachetną dążnością, kiedy wystrzela płomieniem natchnienia, gdy się roztopia w poświęceniu. Ale czyż nie ma ludzi, których widok mimowoli obudza w nas smutne pytanie: czy są to doprawdy istoty, niosące w swém łonie znamiona wyższych przeznaczeń? Dla człowieka głębiej patrzącego, nie ma pod tym względem najmniejszej wątpliwości. I w tych co szklannem okiem widzą tylko kęsy dziennej strawy, a życie swe snują tak, jak snuje liszka swój oprzęd, w którym na zimę zamiera; i w tych nieszczęśliwych co zalegają domy kar i poprawy, i w tych stokroć razy gorszych, co tuczą się na wolności dla tego tylko, że czyni ich nie podpadają pod żaden paragraf sprawiedliwości ludzkiej: i w tych nawet istnieje owa tajemnicza, niedająca się ani zmierzyć ani zważyć, owa nieujętą iskra świętości z całą przyszłością wdzięków zwoich. Potrzeba tylko użyć umiejętnych środków, aby ją z pleśni i z kurzawy życia oczyścić, a wnet zajaśnieje cnota, rozpalą się miłością dobra, piękna, i po nad wszystko piękniejszą, miłością prawdy.

Z tego więc widzicie, że p. Radziszewski, może najgruntowniej uczony polski chemik, daleki jest od hołdowania modnym dzisiaj teoryom materializmu, który się ubrał w szatę pozytywnej filozofii. O małej liczbie zwolenników tego kierunku u nas, pisałem już do was; obecnie podnoszę to znowuż, ażeby zaznaczyć, że odczyty tegoroczne wolne były także od znamion tej filozofii, głęboką chorobę ducha zawsze oznaczających.

W dalszym ciągu odczytów, na rzecz studentów uniwersytetu p. *Henryk Schmitt* miał dwa wykłady, w których określił pogląd swój na usiłowania, podejmowane w ciągu wieku w celu podniesienia oświaty w narodzie polskim. Krótkość czasu nie dozwoliła szanownemu naszemu historykowi, który ma wielką łatwość słowa i mówi płynnie acz sucho, zimno i niezodownie, wszechstronnie obejrzeć podniesionej kwestyi. W odrodzeniu wewnętrznym nie tylko oświata ale i inne także czynniki występują, których p. Schmitt nie dotknął.

Chociaż wykłady jego nie były wyczerpujące, należały przecież do lepszych i pożytecznych. *Henryk Schmitt* jest od lat czterech członkiem Rady Szkolnej Krajowej i głównie zajęty jest sprawami szkół naszych. Zajęcie to jest powodem, że dzisiaj mniej pisze niż dawniej. Pióra jednak nie porzucił. W przeszłym roku wydał dziełko w obronie Hugona Kollątaja, przeciwko zarzutom jakie porobił wielkiemu reformatorowi edukacji publicznej, pan *Lucyan Siemieński*, a za nim *Stanisław Tarnowski*. W dziełku tem w obszernych wywodach zbija ubliżające charakterowi Kollątaja oskarżenia i gruntownie dowodzi, że tenże działał zawsze z najlepszą wiarą.

Panna *Felicja Wasilewska*, ochmistrzyni najlepszego we Lwowie prywatnego zakładu edukacji pań, miała odczyt: „O Pestalozzowego życia i zasług pedagogicznej.” Odczyty pani Wasilewskiej zwabiają zawsze liczną publiczność do sali, tak dla powszechnego szacunku, jakiego używa, jako też i dla jej wykładów, które odznaczają się prostotą, jasnością, skromnością i wdziękiem słowa. Życie Pestalozzowego przez nią opowiedziane, nie jednego mogło zachęcić do udania się w ślady szwajcarskiego nauczyciela. Szlachetna, serdeczna jego natura i poświęcenie się dla ubogich dzieci nie mogło być lepiej opisane. Panna Wasilewska jest autorką „*Historji literatury polskiej*” dla dziewcząt. Dotąd wyszedł jeden tom tego pięknego dzieła. Na dalsze tomy oczekujemy z niecierpliwością.

Feliks Gryziecki, profesor wydziału prawniczego w uniwersytecie, poświęcił swój odczyt nauce „o duszy wierzącej”; pani zaś *Stefania Wechslerowa*: *Henrykowi Hejnemu* i młodemu Niemcom. Nazwisko pani Wechslerowej nie doszło jeszcze do was; tuszmy, że niebawem stanie się ono głośniejszem. W szkołach żeń-

skich Lwowa, pani Wechslerowa jest nauczycielką literatury niemieckiej i francuzkiej, które zna dokładnie. Wykłada pięknym polskim językiem. Odczyt o „*Hejnym*” bardzo chwalebny, ma być drukowanym.

Serya odczytów dla towarzystwa bratniej pomocy studentów uniwersytetu zamknął *N. F. Żaba* wykładem metody mającej na celu ułatwienie nauczania historii, geografii i statystyki. Miał jeszcze mówić o idei narodowości sędziwi wieszcz *Seweryn Goszczyński* od roku we Lwowie zamieszkały, ale słabość nie dozwoliła mu publicznie wystąpić.

Wykład *N. F. Żaby* obudził ogólne zajęcie. Pomysł do metody, której naucza, dał śp. *Jawziński*. Później wiele nad nią pracował generał *Bem*; pan *N. F. Żaba* zaś udoskonalił ją tak dalece, że jego nazwisko słusznie nosi. Poświęcił się on całkowicie rozszerzaniu i nauczaniu swej metody. Wiele lat nauczał według niej historii w Anglii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Brazylii, w Rzeczypospolitej Argentyńskiej, w Portugalii—i doczekał się tego, że w tych krajach metoda jego przyjęta została do nauczania historii w wielu kolegiach szkolnych, a w Brazylii we wszystkich szkołach. Pomiędzy swoimi uczniami liczy *N. F. Żaba* ukoronowane głowy. Cesarz Brazylijski i król Portugalski sami się nauczyli tej metody, a ostatni udekorował *N. F. Żabę* orderem *Christusa*. Od pewnego czasu naucza p. *Żaba* w Krakowie, w Tarnowie, we Lwowie. *Namiestnik* i *Rada Szkolna Krajowa* dają mu poparcie. Ostatnia zakupiła dla seminarjów nauczycielskich sto egzemplarzy opisu jego metody, który wyszedł w Krakowie r. b. W kilku wykładach dla nauczycieli lwowskich, w lekcyjach dawanych po pensjach i wreszcie w dwóch dla obszernej publiczności przeznaczonych odczytach, *N. F. Żaba* dostatecznie zaznajomił nas tutaj z zasadami swej metody, której główną wartością jest jasność i prostota. Usiłowania te nie zostały bez dowodów uznania: *Hrabia namiestnik* obdarzył p. *Żabę* pamiątkowym pierścieniem, a uczennice pensyi p. *Wasilewskiej* drogocenną śpiłką.

Druga serya odczytów, urządzoną była, jak to powiedziałem wyżej, dla kobiet przez Towarzystwo Pedagogiczne, co nie przeszkadzało korzystać z nich i mężczyznom chętnym nauki. Wykłady Towarzystwa Pedagogicznego rozpoczął *Józef Żuliński*, profesor w seminarjum nauczycielek, rzeczą w której wykazał znaczenie astronomii w wychowaniu. Prelekye *Józefa Żulińskiego* zaciekawiły słuchaczy. Wykazał w nich, że astronomia, jako jedno ze źródeł uczucia wiary, piękna, dobra i pokory, a odwodząca od złudnego świadectwa zmysłów naszych, jest przedmiotem ogromnego znaczenia w wychowaniu moralnym człowieka. Wykazał następnie znaczenie praktyczne astronomii w wychowaniu człowieka, tłumaczy ona bowiem zjawiska najpowszedniejsze, a będące w związku z ważnymi sprawami społecznymi, z których wymienimy tu chociaż jedną, to jest sprawę kalendarza. W dalszych prelekeyach podnosząc konieczność poznania nieba, wykazał sposoby nauczania astronomii i wynalezione oraz poprawione przez siebie przyrządy mające ułatwić to nauczanie. Przyrządy te uczone, a pracowity profesor wysłać ma na Wystawę do Wiednia.

Profesor gimnazjalny, *Zygmunt Samolewicz*, miał odczyt o kobietach w starożytnej Grecji. Nauka gruntowna złączyła się tu z darem pięknego przedstawienia przedmiotu. Odczyt ten będzie drukowanym, wstrzymam się więc od szczegółowego scharakteryzowania tej pracy pana *Samolewicza*, która, niewątpliwie i u was zainteresować potrafi ogół czytający. *Samolewicz* jest autorem kilku dzieł treści pedagogicznej, uchodzi w naszym mieście za najlepszego hellenistę; jest młodym, pracowitym, wielkiego więc po nim spodziewać się można pożytku dla polskiej nauki.

Dr. Tadeusz Żuliński medyk i chemik pato-

logiczny w tutejszym powszechnym szpitalu, wziął najczynniejszy udział w wykładach Towarzystwa pedagogicznego, w sześciu bowiem lekcyjach przed audytorjum, miał jasny a wyczerpujący wykład o *hygienie wychowania*. *Dr. Tadeusz Żuliński* od lat kilku pracuje nad wprowadzeniem nauki higieny do programów szkół średnich tak męzkich jak i żeńskich. Kto obserwuje stopniowe przeradzanie się fizyczne ludzi, to ciągle słabnięcie i wątlenie pokoleń, ten z wdzięcznością przyjmie wiadomość o propagandzie nauki zdrowia przez *D-ra Żulińskiego*. Już na zjeździe przyrodników i medyków polskich w Krakowie, przedstawiony był wniosek *D-ra Żulińskiego* o konieczności wprowadzenia nauki higieny do szkół. Na zjeździe Towarzystwa Pedagogicznego w r. z. w Tarnowie tenże sam wniosek uzyskał jednomyślne poparcie galicyjskich nauczycieli. W osobnym memoriale do Rady Szkolnej Krajowej, w licznych artykułach, broszurach, przemówieniach poruszał *Dr. Żuliński* tenże sam przedmiot. Wytrwałość jego sprawiła, że już w prywatnych żeńskich zakładach higiena jest nauzaną jako osobny przedmiot, że można mieć nadzieję, iż Rada Szkolna wprowadzi ją do szkół męzkich średnich, zrozumienie bowiem wielkiej wagi higienicznego wychowania stało się u nas dość powszechnym. Powróćmy jeszcze w jednym z przyszłych moich do Was listów do przedmiotu tyle ważnego, z którego *Dr. Tadeusz Żuliński* zrobił sobie specjalne zadanie. Zniesienie jednostronności wychowania w szkołach tutejszych, będzie zasługą jego szlachetnych a wytrwałych zabiegów.

Odczyty Towarzystwa Pedagogicznego jeszcze się nie skończyły, wszystkich ma być 24. W ostatnich dniach *Jan Amborski*, profesor akademii technicznej, mówił o życiu i pismach *Bérengera*, cytując najpiękniejsze piosenki francuzkiego lirnika; *Suljan Turczyński*, dyrektor seminarjum nauczycielskiego ze Stanisławowa, mówił o *Dziadach A. Mickiewicza*. Pan *Turczyński* wydaje zeszytami dzieło p. t. „*Rozbiór dzieł Adama Mickiewicza*.” Sądząc z dwóch pierwszych zeszytów, w których pomieścił rozbiór „*Grażyny*” i „*Konrada Wallenroda*,” pan *Turczyński* nie ma potrzebnych kwalifikacyi do studyów tego rodzaju.

Trzecia serya odczytów urządzona w zakładzie *Ossolińskich* przez Towarzystwo Świętego *Wincentego a Paulo* była równie zajmującą i nauczającą, jak dwie poprzednie. Nie będę się jednak o niej szczegółowo rozpisywał, bo już i tak list mój stał się zanadto obszernym. Wyliczenie jednak samych nazwisk i przedmiotów tam poruszonych, dopełni dostatecznie wiadomości jakie wam przesyłam o zabawach naukowych, podjętych we Lwowie w wielkim poście. Otoż mieli tam odczyty: *Władysław Łoziński* o „*Księciu-humoryście*” (*Generał ziem podolskich*) rzecz napisana lekko i powabnie; *Dr. Tadeusz Żuliński* miał obszerny wykład o *Antropologii* w stosunku do dziejów; *Bernard Kaliski*, autor „*Dziejów Polski*” czytał: „*O reformach sejmowych w XVII wieku*.” *Władysław Wislocki*, kustosz biblioteki *Ossolińskich* czytał rozprawę pełną erudycji: „*O najstarszej książce polskiej drukowanej*”; *Maurycy hr. Dzieduszycki*, uczonego pisarz historyczny, mówił o „*Dwóch unijach politycznych*”; *Fr. Lutrzykowski* miał dwie prelekye o obrazie *Matejki* „*Stefan Batory*”; p. *Adam Kuliczkowski*, profesor seminarium nauczycielskiego, autor wydanej roku zeszłego „*historji literatury polskiej*” dłużej czytał „*O życiu i pismach Mieczysława Romanowskiego*”.

Dnia 3 b. m. umarł we Lwowie *Adolf Rudyński*, redaktor rządowej „*Gazety Lwowskiej*” i wychodzącego w roku zeszłym przy tejże *Gazecie* „*Dodatku miesięcznego*” poświęconego statystyce i historii. Zmarły wydał w r. z. „*Kodex dyplomatyczny Wieliczki*” zawierający bardzo cenne materiały dla historii polskiego górnictwa. Szanowano go jako człowieka pracowitego. Następcą *Rudyńskiego* został znany powieściopisarz *Władysław Łoziński*.

ski, który już od 1 Lutego redaguje pismo, na miejscu „Dodatku” wychodzące zeszytami przy „Gazecie Lwowskiej” p. t. „Przewodnik naukowy i literacki”.

DZIENNIK PODRÓŻY PO NIEMNIE

PRZEZ
Zygmunta Glogera.

I.

D. 6 Czerwca 1872 r.

Gdy inni szukają źródeł Nilu w skwarze zwrotnikowego słońca, gdy odkopują gruz oblane krwią Achilla, Patrokla i Hektora, lub bohaterską śmiercią giną wśród lodów biegu — ja ku tobie podążam domowy Niemnie, by wypowiedzieć nurty twoje i ustronia wybrzeży twoich, by pogwarzyć z rzeszą osiadłą nad brzegi twemi. Ani ładowny złotem mój sapet podróży, aby stać go było na zamorskie wędrówki; ani dosyć mocy w sercu, by wytrzymało tęsknotę oddalenia. Wiem, że z dalekich i niebezpiecznych pielgrzymek synów Zachodu korzysta świat cały, że idą oni nieraz na niechybne męczeństwo parci szlachetną żądzą wiedzy, w imię wielkiej idei nauki. Ależ zmierzli oni pierwaj każdą skibę własną, każdą kroplę wody przejeździ, każde słowo i echo słowa do księgi zapisali. A u nas — ileż dotąd Nilów płynie wśród zagrod naszych! — ileż Troi porasta dzikim chwasem niewiadomości, ile cegieł nasiąklą krwią Hektoru poszło w ściany naszych karczem i kramnic! Każdy więc szeląg wydany nieopatrznie w cudzej stronie, może ciążyłby mi na sercu jak krzywda wdowy lub lza sieroty. Obey ludzie opisać świat cały dla nas, a nawet gdy nie będzie nas stać na to, to i nasze śmiecie opisać — ale już nie dla nas.

Kiedy w dzieciennych latach moich słyszałem nieraz o smutnych wypadkach na przeprawie przez Niemen i zjeździe ze stromej góry pod Grodnem i kiedy straszny los tonących stawał się widmem w snach dziecka — ani myślałem wówczas, że będę kiedyś śpieszył nad ten Niemen, aby piękną jego dolinę szlakiem wędrówki swej czynić. Ani marzyłem, iż po żelaznej drodze, której wtedy nie było, prawie z szybkością jaskółki, niesiony siłą wrzasku, będę przelatował dziś po amerykańskim moście, niby jaskółka nad masztami wicin grodzieńskiej przystani. *Mutantur tempora et nos mutamur in illis.*

Swist pary przerwał mić myśli snuty z innego świata, oznajmiając, że zbliżam się do kresu mojej lądowej podróży. Wyjrzałem przez okno — był to jasny, piękny poranek tęchnący wiosenną świeżością, ale dla biednych podróżnych bardziej dymem lokomotywy. Pod nami wił się w głębokim jarze Niemen, a kilka secin białych drewnianych domków piętrzyło się na krawędziach stromych wybrzeży. Mury siedmiu świątyń panowały nad starym grodem jak duch nad ciałem, jak wielka myśl nad zgiełkiem ulicznym. Oko pobiegło w stronę zamków i starej cerkiewki na Kołozy, której ruiny pokochałem będąc pierwszy raz w Grodnie przed pięciu laty. Na falach Niemna widziałem teraz już siebie żegnającego Grodno jak Child Harold na litewskim bacie, tylko bez szlochającego pazia i błędnącego z tęsknoty giermka, lecz z motyką starożytnika w dłoni i torbą na wykopaliska.

Ale kto chcesz lubować się pięknymi widokami przyrody, nie siadaj na wóz ciągnięty wiatronogim pegazem z masztarni berlińskiego Borsiga, a kierowany przez opasłego maszynistę z czerwonym nosem, nieczulego ani trochę na harmonię dziwów natury. Na szczęście nie miałem dłużej zależeć od woli tak prozaicznego woźnicy, bo już pociąg stanął przed dworcem grodzieńskim. Zaledwie wcisnąłem się do ogólnej sali w której drzwiach

straszliwy tłok i zgiełk panował, gdy pewien maż starozakonny, śledzący przenikliwym okiem po tłumie, przysunął się prosto do mnie oznajmiając, że jest sługą tego hotelu, w którym oczekuje mego przybycia towarzysz zamierzonej wodnej podróży mój krewny Gustaw J. To rzekłszy usłużny izraelita zaprosił mnie i wsadził do zamówionej jakoby wcześniej dorozki, czyli jednokonnej o blaszanem dnie, haniebnie trzęsącej, dzwoniącej i brudnej kałamaszki, do której zaprzężona chuda, wielka szkapa poganiana była bez przerwy biczem, a najczęściej biczyskiem (t. j. kijem od bicia) przez zawziętego na jej biędne kości w podartym sarafanie hebrejszyku. Trzeba bowiem wiedzieć, że służba hotelowa i dorozkarska nawet w samej Jerozolimie nie mogła być obficie reprezentowana przez wyznawców Mojżesza niż w naszym Grodnie. Na kałamaszce znalazłem już nieznajomego jego mościa, o którego zabranie do hotelu wstawił się pierwaj mój starozakonny opiekun. Cokolwiek mnie zdziwiło takie *à priori* powzięte przez nieznajomego przeświadczenie o mojej gościnności, naśmieliśmy się jednak, gdy w rozmowie podczas drogi pokazało się, że ja sam jechałem na cudzym wózku, protegowany nieznajomemu przez izraelite, który w zapędzie swej usłużności chciał tylko zastosować praktyczność zbiorowego podróżowania swoich współwyznawców.

Grodno nie zmieniło się w niczem od ostatniej mojej bytności przed pięciu laty. Mego kuzyna, który tu przybył dniem wcześniej dla najęcia lub zakupienia potrzebnego dla nas statku, zastałem w wielkim kłopotcie z powodu, że port grodzieński takowego nie posiadał. Westchnąwszy więc po onych czasach w których święty Jacek przeprowadzał mniichów przez Wisłę pod Wyszogrodem na opończy, poruczyliśmy dalszą kwerendę przemysłnym potomkom Izraela. Jakoż tłumacząc nam oni ciągle w koło, że do Kowna jest kolej, którą można taniej, a przedewszystkiem bezpieczniej niż wodą zajechać, wyszukali nareszcie tak zwaną tu *czajkę*, przez której nieopatrzone dno i boki nabiegała woda jak w rzeszoto. Gdy innej nigdzie nie było, kupiliśmy ją za wysoką cenę w zamiarze, naprawienia. Tak więc błogie marzenia iż jeszcze w dniu tym samym opuszczę miejski zaduch i trudne do przebywania dla ludzi i zwierząt bruki Grodna — rozbiły się o dziurawe dno naszego statku.

Przyprowadzono nam pierwszego spotkanego na ulicy flisa który chciał w tej podróży przyjąć służbę. Był nim Wiktor Mazurkiewicz, włościanin z pobliskiej wsi Łosośny, człowiek średniego wzrostu i wieku, dobrze zbudowany, uprzejmy powierzchowności, *oryl* i cieśla zarazem. Na wodzie znał się dobrze, bo miał teraz szesnasty raz płynąć do Kowna. Wziąwszy nas za obywateli ziemskich prowadzących zboże czy drzewo do Królewca, pytał gdzie są nasze wiciny lub płyty? Objasniłem, że płyniemy tylko dla samego upodobania, co obecny przy ugodzie faktor starał się dokładniej Wiktorowi wyłożyć, tłumacząc ogródkami, że panowie, którzy nie mają nic lepszego do roboty, zwykle oddają się podobnym dzieciennym i dziwacznym zabawom dla zabicia czasu i nudów, co on znajdował bardzo naturalnem.

Ugoda z wioslarzem, do którego poculiśmy pewną sympatyę, w jednej chwili przysłała do skutku, bo nie wymagał wiele. Teraz gwoli upałowi przywdziawszy przygotowany na podróż jasny, płócienny, podobny do orylskiego ubiór i wielki kapelusz od słońca i deszczu, wyszedłem na miasto dla zakupienia rozmaitych przyborów. Pierwsze miejsce miała tu smoła, konopie, gwoździe i garnek do roztapiania smoły, co wszystko zabrawszy Mazurkiewicz pospieszył nad Niemen naprawiać *czajkę*. Dalej zaopatrzyłem się w różne drobiazgi zacząwszy od papieru i ołówków aż do cukru, herbaty i garnuszka. Okolice bo-

wiem, które mieliśmy przebywać, żyjąc w sielankowej prostocie swojej nie obfitują w podobne przedmioty zbytku. Tak objuczony wszelkiego gatunku sprawunkami (po grodzieńsku *pokupkami*) musiałem pocieszenie wyglądać w ubiorze moim, bo przechodnie przyglądali mi się ciekawie, a najbardziej żydówki wciągające mnie za łokcie do swych nieporządných i ciasnych kramnic. Gdy wstąpiwszy przemówił słów kilka, wtedy mierzyły mnie bacznie okiem i zawsze z pewnem lekceważeniem prosiły siedzieć, podając chromy stołek często bez siedzenia, lub wskazując w tymże celu jaki wór z mąką czy wiktuałami, co przypominało mi stare przysłowie w Rysin-skiego, że *jakie odzienie, takie uczczenie*.

Wieczorem listy, które miałem tu popisać, były już w skrzynce pocztowej, szkice i plany ruin Kołozy na ukończeniu, a co najważniejsza — *czajka* załatana. Wiktor pobiegł do Łosośny pożegnać się z żoną i dziećmi, bo nazajutrz równo z brzaskiem poranku hotel Gwirtza przy ulicy Brygidzkiej miał się stać greckiem *Jolkos* z którego podlascy Argonautci na tej samej trzęsącej kałamaszce, ciągnęci przez tę samą szkapę, mieli wyruszyć do swego *Argo* spuszczonego na fale Chronusu. Opuścić zaś mieli ład u podnoża starej góry zamkowej, zapewne w tej samej miejscowości, z której odpłynął w r. 1418 król Jagiełło w towarzystwie nadobnej małżonki królowej Elżbiety z Pilicy i rady senatu, otoczony świetnym dworem, udając się Niemnem za Kowno do Wielony na głośny zjazd z w. mistrzem Kuchmeister'em. W wyprawie Argonautów przypadała mi rola Jazona. Mój kuzyn statecznym wpływem swoim miał odegrać wiadomą w zająciach z Lemnoskami rolę Herkulesa. Mazurkiewicz ma się rozumieć był onym Argusem, który *Argo* budował i w wyprawie miał udział. Złotem runem miały być archeologiczne nabytki i wykopaliska. Brakowało tylko 47 towarzyszy, ależ dziś za ciężkie czasy, aby włożyć taką czeredę. Nie byliśmy także pewni, czy będziemy gdzie w podobny sposób przyjęci jak Argonautci na wyspie Lemnos przez uprzejme jej mieszkanki, które wytepiwszy pierwaj wszystkich swych mężów, długi czas gościnie podejmowały szczęśliwych żeglarzy.

D. 7-go Czerwca.

Przybywszy przed wschodem słońca nad Niemen, przypatrzyłem się raz pierwszy szczupłym rozmiarom i wątlej budowie naszej łódki. Miała długości łokci siedm a szerokości półtora, każdy bok składał się z jednej deski grubej na cal. Ławek wcale urządzić nie było można zdaniem naszego flisa, bo kołysanie byłoby niebezpieczne, zrobiliśmy więc z naszych burek tureckie siedzenia na dnie *czajki*. W nosie jej obrał sobie stałe miejsce mój krewny, w środku za nim ja, za mną dwa nasze tłumoczki, za którymi w ognie *czajki* nasz sternik i wioslarz zarazem ze swemi węzełkami. Resztę pustego miejsca w łódce wypełniło zapasne wiosło, szufła do wylewania wody, podróżne teki i kije, wreszcie szczupła spiżarnia nasza. Tym sposobem napelnia się łódka jak żydowska bieda na jarmark i zanurzyła tak głęboko, że tylko cztery cale było od wody do krawędzi. Co zaś najgorsza, że przez dno i boki nabiegała to staremu woda, lecz Mazurkiewicz uważając to za rzecz bardzo naturalną, zapewniał, że każda łódź po spuszczeniu ciec musi nim namoknąć, lecz że wkrótce przestanie, a tymczasem mając wylewajkę, możemy wody łatwo się pozbywać, i tym sposobem podtrzymywał honor swoich wieczorajszych zdolności argusowych. A jednak, myślałem sobie, cokolwiek bądź, ta wąta łódka, tych kilka niedbale zbitych desek, musi zanieść nas do wiekopomnej doliny „tulipanów i narcyzów.” Na niej mamy żeglować 40 mil po najbystrzejszej z rzek litewskich i naliczyć 28 raf wielkich i 40 mnie-

85

szych, których tyle jakaś książka podaje. Ale przecież nie taki dyabeł straszny jak go malują, a kto z Bogiem Bóg z nim, mówi przysłowie—więc zmówiliśmy po pacierzu, co widocznie ucieszyło naszego Wiktora, bo poznał, że wszyscy puszczać się z Bogiem w podróz.

Opuszczaliśmy miasto pogrążone w śnie głębokim, nie domyślając się, że wyprawa starożytnicza wypływa z jego murów. Dla nas to i lepiej, bo jeszcze wziętoby archeologię za jakąś kontrabandę. Dwóch tylko reprezentantów Grodna pożegnało nas na brzegu; obaj nam znani: starozakonny woźnica i faktor hotelowy, który jak pierwszy mnie witał, tak żegnał ostatni. Sentyment jego kończył się wprawdzie na lądzie, bo na łódkę tłomaczków nie odważył się wnieść, tłumacząc, że ma żonę i dzieci, dla których obowiązany nie narażać swego zdrowia i życia.

Już czajka nasza o fale Niemna pluchoce, a długie wiosło nie gruntuje dna rzeki. Opuszczam ten brzeg niepowrotnie ze słowami Syrokomi w ustach:

Po rodzinnej naszej rzece,
W obce strony nieś mię, łodzi!
Niech cię trzyma Pan w piecice,
Niech cię burza nie uszkodzi!

Odpywamy na zachód, a cóż za wspaniały widok po za nami! Wschodzące słońce oblało złotem urwiska i wąwozy zamkowej góry i na jej szczycie granitowe szczątki witołdowego wyższego zamku. Glazy szczerbione w XIV wieku mieczami synów Albionu i Germanii, oblane posoką kwiatu rycerstwa Zachodu, które dażyło tu dla zdeptania hydry Półnoey, jaką w mniemaniu jego była pogańska Litwa, broniąca bohatercko swych niewdzięcznych bogów, świętych gajów i puszczy domowych. W dali nad dymiącą mgłami szmaragdową wstęgą Niemna wsparty na wybujałych filarach z granitu, przerzucił się w powietrzu nad przepaścią piękny most, pod którym sterczą maszty płynących wicin, harde, bo nie schylają czoła pod żelazną jego czeluścią, a równe krzepkim filarom. Tu i owdzie rozlegają się odbite po wodzie wołania orylów, a wśród porannej ciszy dolatuje od niwy zamiejskiej pieśń skowronka.

Przy zachodnim krańcu miasta u stóp wzgórza Kołozy przybiliśmy do lądu, bo i wodę z łódki trzeba było wylać, do czego wziął się Wiktor, i dokończyć wczorajszych rysunków może najstarszej z litewskich ruin, gwoli czemu udałem się na górę.

Miejscowe podanie widzi na Kołozy świątynię litewskich pogan, przerobioną później na przybytek krzyża. Chce ono w ten sposób podnieść wielką starożytność budowy. Trzeba jednak wiedzieć, że w początkach dziejów litewskich nie było pono właściwej Litwy w okolicy Grodna, t. j. lud nie mówił po litewsku równie jak dziś. Wśród puszczy żyli nieliczni rusini dość wcześnie ochrzczeni, bo już pod r. 1128 latopisowicie nasi wspominają Grodno jako chrześcijańską stolicę udzielnej włóści, spaloną potem przez piorun razem z murowanymi cerkiewiami w r. 1183. W pierwszej połowie XIII wieku panowali we włóści grodzieńskiej słowiańscy książęta Hlebowicze, dopóki r. 1241 Mongołowie pod wodzą Kajdana nie zburzyli drewnianego tutejszego zamku, przyczem poległ pan jego Jerzy syn Hleba, a okolica została pustynią. Wtedy to zajął zniszczone ziemie bez pana książę litewski Erdźwiłł Montwiłłowicz, wyprawiony przez stryja swego Mendoga na szukanie sobie państwa w ziemi słowiańskiej, i odtąd Grodno z okolicą a prawdopodobnie cerkiewiami pozostawało w rękach pogan aż do Jagiełły. Ze cerkiewka na Kołozy nie była wzniesiona dla Znicza, tego dowodzą wszystkie jej kształty i szczegóły chrześcijańskie, zaczawszy od trzech naw i presbiterium, aż do krzyżów pokrywających ściany. Jeżeli jednak już istniała za doby Hlebowiczów, a zdaje się, że

to o niej latopis *Hypacowski* mówi pod r. 1183, to tem samem chrzest Litwy mógł zastać ją w rękach pogan, co dało prostą podstawę do dzisiejszego podania. Świątynia służyła potem Bazylianom i posiadała obraz Bogarodzicy cudownością słynący. Przed kilkudziesięcioletni laty w skutek stopniowego osypywania się stromego boku wybrzeża, na którym stoi, runęła w przepaść południowa jej ściana, dach i połowa frontu. Litografowany widok Kołozy przed obaleniem jest w rzadkiej *Tece Michała Kuleszy* (wydanej u Lemercier'a w Paryżu), ale w dalekiej perspektywie, więc niedokładny.

Długość świątyni wynosi około stóp 70, a szerokość 45. Styl w wielu szczegółach i kształtach bizantyński, ołtarz był zwrócony na wschód. Ściany zbudowane w równoległobok, którego bok a raczej szczyt zaołtarzowy, wschodni, złożony jest z trzech luków zakończających trzy nawy. W środkowej wklęsłości najszerzej i najdalej wysuniętej mieścił się ołtarz. Belkowanie wspierało się na ścianach i dwóch okrągłych filarach, oddzielających nawę środkową od pobocznych w połowie ich długości. Wewnątrz świątyni było w ścianach kilkanaście mniejszych i większych nisz, niektóre z nich musiały mieścić konfesjonały. W lukach zakończających boczne nawy, a mianowicie w lewym, były kryte w murze wazkie dębowe wschody oświetlone niewielkimi oknami, wychodzącymi na nawę, w stopniowej wysokości. Może największą osobliwością wnętrza są dziś garnki, których sto kilkadziesiąt było wmurowanych poziomo w ścianach z otworami 3 do 4-calowej średnicy. Jedni uważają je za pogańskie popielnice, w których składano popioły znamienitszych pogan—inni upatrują myśl budowniczego dodania lekkości murom. Obadwa domysły nie mają podstawy. Poganie litewscy takich katakumb urządzić nie mieli zwyczajem; na lekkości zaś zyskują tylko sklepienia i wszelkie mury wiszące, ale w podobnych ścianach chodzi o moc, której garnki nie dodają. Gdy zważymy natomiast, jak wielkie znaczenie odgrywał zawsze śpiew we wschodnim kościele, łatwo dopatrzymy akustycznego przeznaczenia gurnków, które też *hołosiakami* od głosu nazywano w starożytności. Usunie się wszelka wątpliwość, gdy zważymy, że i w ścianach cerkwi św. Bazylego w Owruclu wzniesionej przez Włodzimierza I około r. 1000, której szczątki dotąd oglądać można, takie same hołosiaki na różnej wysokości są powmurowywane. Gdzie odbijały się pobożne pienia, tam dziś rade gnieźdzą się wróble, a miejscy chłopcy wlażąc po drabince, wybierali przy mnie wróble. W szczycie zaołtarzowym w połowie wysokości ścian są widoczne zewnątrz ślady dziewięciu pięknych gżemsów wielkich okien, po trzy w łuku każdej nawy. W ścianie bocznej są dwa duże okna pod samym stropem, a we froncie oprócz okrągłego nad głównymi drzwiami, jedno wielkie powyżej. Na dachu świątyni, który runął, kopuła bizantyńskich nie było, tylko mała smukła wieżyczka z sygnaturką. Budowla musiała być niegdyś dziwnie zewnątrz piękna, a bardziej oryginalną z powodu ścian, na których czerwonym tle cegieł wykładane były w różnej wysokości bez ściślejszej symetrii krzyże z kafli pokrytych piękną emalią, cytrynowej, wiśniowej, zielonej i słomianej barwy. Takich krzyżów około 30 było na każdej ścianie. Pod świątynią znajdował się niewielki sklep na kostnicę obrócony, który w r. 1867 zastałem w części zawalony. W sklepie tym odgrzebałem wtedy wśród kości jakiś grobowy kamień z tak niezgrabnym napisem słowiańskim, że dopiero po oczyszczeniu i odrysowaniu dowiedziałem się, że był nagrobkiem pewnej dostojnej cudzoziemki zmarłej tu w zeszłym wieku. Do pierwotnej budowy gmachu użyte były cegły kilku kształtów, wszystkie nierównie cieńsze od dzisiejszych. Wapna, w którym jest stosunkowo mało piasku, kładziono między cegły na

cał grubo, a do tego wewnątrz grubszych ścian znajduje się gruz zalewany wapnem. Ukończywszy moje szkice, wybrałem sobie z poblizkiego stosu cegieł główne ich typy, jako techniczne okazy starożytnego budownictwa. Wniesienie trzech cegieł na czajkę zanurzyło ją o pół cala głębiej. Cóż to będzie dalej? żartował ze mnie Gustaw—lepiej od razu nająć w Grodnie pod starożytności bat, jaki właśnie zmierzając do miasta miał nas w tej chwili ciągnięty pod wodę za długą linę przez 10 pieszych ludzi, z ładunkiem kilkunastu sążni opałowej sośniny.

Teraz nastąpiło istotne rozstanie się Argonautów z Grodnem, do którego nakręciłem pożegnanie Child-Harolda:

Bywaj mi zdrowy grodzie sędziwi!
Już w mglistej nikniesz powłoce.
Już Niemen szeptem głębin swych dziwi,
Litewski słowik świergoce.

Tu rzeczywistość niebaczna na estetyczne poczucie piękna w poezji, sama domówiła pożegnanie z tobą:

Faktorze chławi i bruku krzywy,
I wieczny żydów szwargociel!

(d. c. n.)

PODRÓŻ PO AFRYCE. ¹⁾

III. Gościnność arabska.

W początku miesiąca Marca 1858 wyjechałem z Konstantyny w głąb Afryki. Jenerał Gastu, głównodowodzący w prowincyi Konstantyna, był tak grzecznym, iż dał mi do konwoju szwadron afrykańskich konnych strzelców, którzy mieli mnie odprowadzić aż do oazy Biskara, oddalonej o sześć dni marszu od Konstantyny.

Zaledwo forteca zniknęła za nieboskłonem, odkrył się widok czysto afrykański. Przed nami, za nami, w prawo i w lewo była piaszczysta pustynia, zaledwie gdzieś niegdzie pokryta trawą, wzgórze stanowiące północny skłon Atlasu były pustynne jak i wszystko co nas otaczało: nigdzie najmniejszego drzewka, nigdzie rucaju. Noc przepędziliśmy, tak jak i następne, w tak nazwanym karawanseraju urządzonym w miejscu, gdzie istniała studnia. Na trzeci dzień widnokrąg się zmienił. Miejscowość na którą wstąpiliśmy, nosiła na sobie ślady strasznych geologicznych przewrotów. Co chwila musieliśmy spuszczać się w ogromne parowy, lub piąć się na wzgórze widocznie podniesione siłą wewnętrznego parcia: ziemia w jednym miejscu była prawie czerwona, w drugim brunatna, w trzecim zielona, w czwartym żółta, powierzchnia błyszczała od kryształów soli, osiadłej z wód, które niegdyś w epoce przedhistorycznej, toczyły swe wały po tych miejscach. W południe stanęliśmy na popasie około tak zwanej „góry solnej”, w której kryształy odbijały się na słońcu jak diamenty. Około piątej po południu po raz pierwszy ujrzałem „*miraż*”, przedstawiający jezioro otoczone palmami. Obraz ten, przeniesiony Bóg wie z jakiej odległości, niknął w miarę zbliżania się ku niemu i zniknął zupełnie przy zachodzie słońca. O dziewiątej wieczorem, gdy księżyc wystąpił w całej swej południowej okazałości, gdy gwiazdy zabłyły na ciemnym niebie, doszliśmy do ostatniego łańcucha Atlaskich gór, oddzielających tak nazwany Tell od Sahary. Skalista góra jak mur stała przed nami. Nie mogłem nawet sobie wyobrazić jak my przejdziemy za tę przegrodę. Lecz wkrótce na zakręcie ujrzelśmy ogromną szczylinę, utworzoną przez góry jakby rozłamane w tym miejscu rękami olbrzymów, w szczelinie tej wił się potok, kierując się ku południowi. Przez potok był przerzucony most, który budowali jeszcze Rzymianie. Ręka ludzka od tego czasu nie dorzuciła jednego kamyka, a most stał, urągając czasowi, burzom, piaskom pustyni, stał dla świadczenia zarozumiałemu nowemu światu, jak wysoko była posunięta architektura u starożytnych.

¹⁾ Zob. Nr. 6 Kr. Rodz.

Zaledwo przejechaliśmy za most i górę, oczom naszym przedstawił się cudowny widok. Na lewo, jak tylko wzrok mógł sięgnąć, ciągnęły się piaski pokryte w oddaleniu czarnymi plamami. Ten step i te plamy, w poetycznym języku arabów nazwane „skórą tygrysa,” była to Sachara z jej oazami. Na prawo, tuż pod górą, po obu stronach potoku ciągnął się dziwnej piękności ogród, wśród którego białe małe domki i figury poważnie spacerujących arabów. Była to pierwsza oaza: „Elkantara.” Palmowe, pomarańczowe i cytrynowe drzewa tworzyły ten ogród. Tysiące kanałów i kanalików odprowadzały wodę rzeczki wewnątrz oazy i do każdego palmowego drzewa, które lubią kąpać korzenie swe w wodzie. Nie umiem opowiedzieć jak byłem zachwycony tym widokiem. Często czytając podróże, starałem się przedstawić sobie co to jest oaza, lecz wyobraźnia moja nigdy nie mogła stworzyć tak cudownego obrazu, jaki się teraz odkrywał przedemną. Do dwónastej w nocy brodziłem pod temi nieznanymi dziecku północy drzewami. Małe rzeczne zółwie przesuwały się po drożynkach; za oazą potok nikał, topiąc się w piaskach i tylko do tego miejsca ciągnęła się zieloność—dalej już była pustynia.

Na granicy oazy, konie arabskie, położywszy się na piasku, spały jak ludzie. Niektóre rżały i poruszały we śnie nogami, widać że im się śniły stopy, które przebiegają tak często, a może polowanie na bystronogie gazelle. Wszystko dla mnie było tak nowe, tak dziwne, że nocnym całą przechodził, tym więcej że noc ta była przesliczna; ale o czwartej potrzeba było znowu ruszyć w drogę, a całodzienna jazda konna zmęczyła mnie mocno, należało więc udać się na spoczynek.

Nie będę opisywał oazy za oazą, które przechodziliśmy, byłoby to powtórzeniem tego co opisałem; nie będę też mówił o pobycie moim na oazach Bathna i Biskara, w ruinach starożytniej Lambessy, bo to rozwlekłoby opowiadanie moje i niewiem kiedybym doszedł do opisanego podróży w tych miejscach, gdzie bardzo rzadko sięgała stopa europejczyka. Przejdę więc wprost do podróży mojej przez oazy Tugurtu, Uorgła, Liszany, Zacza, aż do Busady.

Z oazy Biskara, w towarzystwie araba-spahisa mówiącego po francusku, którego dał mi naczelnik francuskich wojsk, konno wyruszyłem dalej na południe. Rzeczy moje, kilka bułek chleba, kilka worków daktyli i kilkanaście butelek wina wiozł na mule drugi arab. Wyjechałem ze switem: moi znajomi, francuzcy oficerowie, przeprowadzili mnie aż do krańców oazy życząc szczęśliwej podróży i prosząc o zachowanie pamięci o nich. Gdy już oaza znikła nam z oczu i bezgraniczny step piaszczysty odkrył się przed nami, ze zdziwieniem patrzyłem na mego towarzysza araba, który bez drogi jechał z taką pewnością naprzód, jak gdybyśmy mieli przed sobą murowany gościniec. Gdzie niedzie na piasku rosła koląca trawa, [lub piął się gatunek nieznaney mi rośliny, owoce której nadzwyczajnie gorzkie, były podobne do pomarańczy, lub do bardzo małej tykwy. Po kilkugodzinnej podróży zatrzymaliśmy się w stepach na śniadanie. Przewodnik mój arab, wbił parę kołków drewnianych, które miał z sobą, w ziemię, przywiązał do nich koni, a następnie zapaliwszy zapalką suchą trawę, zaczął piec wielkie strusie jajo, które kupił w Biskarze. Usiedliśmy na ziemi i wyjąwszy chleb, maczaliśmy go w tej naprędce zaimprovizowanej jajecznicy, zakąsiliśmy daktylami i zapiliśmy winem. Konie tymczasem jadły bodkaj i ostrą trawę, którejby się nie tknęły nasze europejskie konie. Wiatr południowy dał z wielką siłą i ogień zapalony szerzył się po suchej trawie. Wkrótce odkrył się przed nami widok ciekawy, dający małe pojęcie tego co się czasami dzieje na wielką skalę w południowej Ameryce. Utworzyło się wielkie półkole ognia i dymu, które popędziło ku północy ciągle się szerząc więcej i więcej. Nabawiwszy oczy tym dzikim obra-

zem, siedliśmy na konie i posunęliśmy się znowu na południe, tu i owdzie wielkie piaszczyste pagórki świadczyły o strasznej sile Samumu i Chiainsinu, wiatrów stepowych, które nagromadziły te piaski. W ciągu dnia spotkaliśmy kilka dość licznych stad gazelli, pasących się na stepach; konie nasze przywykłe do marszu i trudów, nie zważając na zmęczenie, z chęcią poszły w zawody z temi bystronogimi zwierzątkami. Pędziliśmy za niemi długo, ale ani razu nie mogliśmy zbliżyć się do nich na strzał z rewolweru, jedynej broni, którą mieliśmy z sobą. Ale już dzień miał się ku schyłkowi i w oddaleniu obaczyliśmy oazę, do której dążyliśmy od rana. Zapomniałem powiedzieć że dwa dni przedtem posłałem list po arabsku pisany, według danej mi przez p. Ferranda formułki, do kaida Liszńskiego plemienia, prosząc go o gościnność.

Zaledwo dostrzeżono nas zbliżających się, z oazy wyjechało dwóch jeźdźców na przeslicznych arabskich rumakach, okrytych drogiemi materyami z Sudanu. Byli to dwaj starsi synowie naczelnika plemienia, wysłani dla powitania gościa, jak mnie poinformował mój spahis przewodnik. Obydwaj byli ubrani w białych burnusach; jedwabne haiki spadały na piersi, a głowę okrywał turban zrobiony z wełny wielbłądziej. Zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków, zsiadli z koni, pieszo przystąpili do mnie i każdy ucałował mi rękę; uściskałem ich za ręce, wedle zwyczaju, i przez tłomacza powtórzyłem iż przyjeżdżam poznać się z życiem afrykańskim, spodziewając się znaleźć u nich gościnność, o której tak wiele słyszałem. Zamiast odpowiadać, każdy z nich przyłożył prawą rękę z początku do czoła a potem do serca, wskoczyli na konie i udali się naprzód wskazując nam drogę.

Przy wejściu do oazy, pod grupą palm, czekał nas stary i poważny kaid, otoczony znakomitościami plemienia. Gdy nadjechał zbliżył się do mnie, przyłożył rękę do czoła swego, a potem do mego kolana i rzekł po arabsku: „niech bóg cię błogosławi w naszych progach.” Zeskoczyłem z konia, podałem mu rękę i poszliśmy razem; murzyn, sługa kaida, wziął w opiekę konia mego.

Oaza składała się z kilkuset domów, zbudowanych na palmowych słupach z terasą na dachach; ściany były zrobione z gliny pobielonej wapnem. Około każdego domku był ogród palmowy, a pod palmami zieleniły się pola pokryte ryżem, kukurydzą lub czerwieniałą grzędą zasadzoną papryką. Na terassach przechadzały się kobiety, nie mające żadnego przykrycia na twarzy i z ciekawością spoglądały na przybysza. W środku oazy stał dom piętrowy—mieszkanie kaida, a niedaleko meczet z wysoką basztą, z której „tałbas” wzywali do wieczornej modlitwy. Była już siódma godzina wieczorem na zegarku moim: słońce zaszło za nieboskłon i noc, jak to się dzieje w krainach południowych, natychmiast pokryła płaszczem swoim ziemię.

Kaid wprowadził mnie na pierwsze piętro pomieszkania swego, gdzie już były przygotowane dywany i poduszki, murzyni słudzy wnieśli świece stearynowe wstawione w wielkie posrebrzane lichtarze. Cywilizacja europejska, pomyślałem, łatwiej przenika w stepy afrykańskie jak do naszych domków szlacheckich, gdzie do dziś jeszcze w wielu miejscach są w użyciu łojowe szabasówki. Gospodarz, prowadząc mnie do domu swego zapytał czym głodny; odpowiedziałem mu otwarcie, że zmęczony długą jazdą i pędzeniem się za gazellami, nie nie jedząc od rana, mam dobry apetyt. Kaid wskazał mi ręką miejsce, na którym usiadłem z moim tłomaczem, a on sam z gośćmi, wezwanymi dla bawienia przyjeźdnego cudzoziemca, siadł na przeciw i klasnął w dłonie. Murzyn posługacz podał nam wodę do umycia rąk, a potem wniósł ogromną misę kuskusu (rodzaj kaszy z krulek pszenicznych), obłożonego mięsiwem baraniem i pieczonymi kurami. Ani łyżek, ani nożów i widelców

nie było; za napój przyniesiono czystą wodę w dzbanach, a zamiast serwety, a zarazem i zamiast chleba, naleśniki z pszennej mąki nie składane, któremi gość ocierał palce zwalane tłustością i zjadał następnie. Gdy już wszystko było postawione przedemną, i gdy miał zabrać się do uczty, gospodarz nachylił się ku lichtarzowi i zgasił świece. Zostaliśmy zupełnie pociemku. Nie rozumiejąc co to ma znaczyć i lękając się gwałtu jakiego, porwałem się do noża, który zawsze nosiłem, w podróży mojej po Afryce, w kieszeni. Widząc jednak że nikt mnie nie atakuje i tylko obecni rozmawiają z sobą poważnie po arabsku, złożyłem broń moją do kieszeni i zapuściłem palce w misę, która stała przedemną i z której mój arab przewodnik posiłał się spokojnie. Trudno mi było podołać z kaszą pszenną czyli z kuskusu bez łyżki, ale zemściłem się na baraninie i na kurach znakomicie usmarzonych, tylko bardzo mocno zaprawionych paprykowym sosem, tak iż mię w gębie piekło. Gdy mój gość zaspokoił głód i zęby przestały pracować, kaid zapytał przez tłomacza czym już nasycił pierwszy apetyt. Na twierdzącą odpowiedź klasnął w dłonie; przyniesiono światło i nową potrawę z baraniny, w rodzaju potrawy także zaprawionej papryką. Rozciekawiony zapytałem co miało oznaczać poprzednie zgaszenie światła. Gospodarz mój odpowiedział: „gdy wchodził tu z tobą, mój gościu, powiedziałeś mi iż jesz ci się chce; przykro człowiekowi głodnemu gdy nań drudzy patrzają wtedy jak on je łapczywie; oszczędziłem ci tej przykrości gasząc światło, żeby cię nie żenowało w nasyceniu apetytu twego.” Tak daleko posunięta delikatność uderzyła mnie nadzwyczajnie. Arab nigdy nie prosi gościa żeby jadł więcej, bo powiada iż gość chce być grzecznym względem gospodarza, może zjeść więcej jak mu potrzeba i zachorować, a to byłoby niegościnnie. Arab postawiwszy przed gościem jedzenie, zostawia jego woli jeść tyle ile chce; zwykle gospodarz odwraca głowę i nie patrzy na jedzącego. W Biskarze byłem zaproszony na obiad do kaida, który zwiedził Europę i znał jej zwyczaje. W czasie obiadu kaid zauważał że młodszy brat jego wychowany w pustyni, jedząc połykał włos koński, który przypadkiem wpadł do potrawy. Uwaga jego tak obruszyła brata, iż wstał od stołu i powiedział mu: „ja więcej nigdy jesz u ciebie nie będę; ty tak uważasz co twoi goście jedzą, iż dostrzegłeś nawet włos koński, który wpadł do mego jada.”

Po tej potrawie wnieśli ogromną pieczeń wielbłądzą. Gospodarz dla uraczenia gościa kazał zabić wielbłąda, który kosztuje w stepach trzy-sta franków! Podając mi nóż, kaid prosił żebym sobie wybrał kawałek najsmaczniejszy. Przyznałem się mu otwarcie iż nie jadłem nigdy tej potrawy i dla tego proszę, aby sam mnie wybrał kawałek, który według ich zdania jest najlepszy. Kaid wykroił mięso około garbu i podał mi go palcami. Podanie nie bardzo mi się podobało, ale kawałek był bardzo smaczny, kruchy i podobny do wołowiny. Po każdej potrawie gdy mój gość przestawał, gospodarz brał półmiskę i stawił go przed zaproszonymi gośćmi, którzy dojadali to co pozostało po mnie i po moim towarzyszu-spahisie.

W czasie obiadu arabowie zadawali mnie różne pytania, o ziemi z której przybyłem, o jej zwyczajach, i z wielką ciekawością słuchali opowiadań moich. Raz zauważyłem iż gospodarz oburzył się czegoś na swoich jedнопlemieńców i bardzo żywo mówił coś do nich. Rozciekawiony zapytałem tłomacza o co rzecz chodzi. Spahis odpowiedział, że dowiedziawszy się iż służyłem w wojsku rossyjskiem, które jeszcze niedawno wojowało z tureckim sułtanem, a którego arabowie do dziś uważają za swego pana, chcieli mnie goście zapytać czy byłem w Konstantynopolu. Gospodarz jednak, wiedząc o rezultacie wojny i lękając się żeby podobne pytanie nie obraziło mej miłości własnej, oparł się postawieniu jego. Uderzyła mnie mocno ta

delikatność ludzi, których my przywykliśmy uważać za nawpół dzikich; powiedziałem więc, śmiejąc się, że na ten raz rosyjskiemu wojsku nie udało się wziąć Stambułu, ale nie za długo będziemy w tem miejscu. „*Makasz bzeif, makasz bzeif*” (nie nigdy) odezwali się zebrani, my wszyscy pójdziemy bronić sułtana, bo on jest głową naszej religii.

Po obiedzie kaid zaprosił nas do drugiej wielkiej sali, w której dla mnie było przygotowane krzesło i stolik, a dla arabów poduszki i dywany. Przynieśli czarną kawę. Ożywieni wesolą moją, a może być i dobrym obiadem któryśmy zjedli, arabowie zaczęli mnie zarzucać pytaniami. Na niektóre z nich nadzwyczajnie trudno było odpowiedzieć. Naprzykład: zapytali mnie, które gwiazdy na ich niebie błyszczą, są widome w naszych krajach. Na szczęście moje zajmowałem się astronomją i mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Wyprowadziłem ich na podwórce i pokazywałem wszystkie znane mi gwiazdy. Jak oni znają swoje gwiazdziste niebo, jak silny i przenikliwy wzrok mają te dzieci pustyni, to godnem jest podziwienia; tam gdzie ja nie widziałem żadnej gwiazdy, oni prawie wszyscy doskonale widzieli. Chcąc to sprawdzić prosiłem jednego, żeby mi zliczył gwiazdy szóstej wielkości w konstellacyi Plejady, których ja nieuzbrojonym okiem nie widziałem ale z nałem liczbę. Po krótkim rachunku odpowiedział: czternaście, co było zupełnie zgodne z prawdą.

Po powrocie do sali prosił mnie, żebym im objaśnił urządzenie elektrycznych telegrafów, o których słyszeli od przyjezdnych z Algieru ziomek. Mając w kieszeni kawałek laku i papieru, pokazałem jak smoła potarta przyciąga papier i wychodząc z tego doświadczenia objaśniłem jak mogłem ten wielki wynalazek. Gospodarz i goście słuchali mnie w milczeniu i z największą ciekawością. Gdym powiedział, że wiadomość od Mekki do Liszany może być w ten sposób przesłana w mgnieniu oka, zdumieni słuchacze jednogłośnie wydali okrzyk podziwu: „bo, bo, bo, bo.”

Następnie musiałem objaśnić co to jest śnieg i lód. Było to jedno z najtrudniejszych pytań, bo jak tu objaśnić dobrze dzieciom słońca zimno, którego oni nie doznają nigdy; ale jakoś i to udało się przy pomocy jednego z arabów, który był w górach Dżurdzury i widział szczyty ich pokryte śniegiem.

Od poważnego nastroju rozmowa wkrótce przeszła na wesołe opowiadanie różnych anegdot. Słuchałem je z ciekawością, bo uderzyła mnie ta okoliczność iż większa część anegdot, szczególnie cokolwiek skandalicznych, znana mi była w Europie; arabowie przy opowiadaniu dodawali tylko imiona arabskie osobom, które wychodziły na scenę. Widać, że skandaliczne anegdoty można zaliczyć do ogólnoludzkich wynalazków, które mogły tak dobrze przejść od nas do Arabów, jak od Arabów do nas.

Około godziny jedenastej wieczorem, czując się zmęczonym, pożegnałem moich gości. Każdy z nich wychodząc z domu dotknął się do ręki mojej i do swego setca, co miało oznaczać, wedle objaśnienia mego przewodnika, iż pozyskałem ich serca. Posłano mi na ziemi, na dywanie; gospodarz zaś położył się w progu pokoju, żeby nikt nie mógł niepokoić gościa w czasie snu jego.

Nazajutrz o czwartej byłem już na nogach; osiem wielbłądów z namiotami i piętnastu ludzi pod dowództwem najmłodszego syna kaida Omara stało około domu. Była to eskorta mająca mnie przeprowadzić aż do Bu-Sady, oddalonej o osiem dni marszu. Podziękowałem serdecznie kaidowi za gościnność i zostawiłem mu na pamiątkę piękny nóż w perłową macię oprawny, który kupiłem we Francyi. Żegnając się ze mną, kaid przez tłumacza powiedział: „gdy wrócisz do Europy, zapewne będziesz opisywał swoją podróż, mój zacny gościu, nie zapomnij w niej opowiedzieć o gościno-

ności, którą ci okazał kaid Liszański.” Ścisnąłem go za rękę, obiecując spełnić życzenie jego, i spełniam je dziś po latach piętnastu.

Po godzinnej podróży już byłem w zupełnej przyjaźni z młodym Omarem. Umiejąc kilkadziesiąt słów arabskich, składałem je i przekręcałem na wszystkie strony i Omar mnie jakoś rozumiał, czy też udawał że rozumie, i sam mówił bardzo wiele przez tłumacza. Było to jeszcze dziecko naiwne do najwyższego stopnia, na wpół dzikie, przywiązujące się do każdego kto mu okazał sympatyę. W południe tak zaprzyjaźniliśmy się, iż prosił żebym zamienił się z nim imieniem (jest to wielki dowód przyjaźni araba). Zgodziłem się na to i całą podróż on nazywał mnie Omarem, a ja jego Janem. Może i do dziś dnia on nosi me imię.

Podróż nasza po Sacharze była przeplatana różnemi zabawami: polowaniem na strusia, polowaniem na hyeny, ale o tem opowiem w innem miejscu. Zdumiewała mnie zdolność arabów kierowania się w pustyniach, szczególnie w nocy. Położenie gwiazd, słońność ziemi, kierunek wiatru, wszystko to im służyło do odszukania drogi, która prowadziła na nocleg, gdzieś około małego stawu, lub błota, gdzie można było napić wielbłądy i konie, a nam orzeźwić się umyciem się, bo picie tej wody było niepodobna. Na drugi dzień mój młody przyjaciel wyświadczył mi wielką usługę, chociaż w sposób dość grubiański. Po kolacyi, złożonej z daktyli i z baraniny upieczonej na drewnianej paleczce nad palącą się trawą, usnąłem, a Omar siadł około mnie i lubował się fotografią europejską, jaką mu darowałem. Wtem uczułem mocne uderzenie w twarz. Zerwałem się odurzony i sięgnąłem do kieszeni po nóż, ale Omar wstrzymał mnie pokazując w swej ręce niedźwiadka, który włożył mi na twarz w czasie snu. Lękając się żeby nie ukąsiło mnie to jadowne stworzenie, Omar jednym uderzeniem rozgniół je na twarzy mojej. Sposób ratowania od ukąszenia był bardzo skuteczny, ale przyznam się nieprzyjemny.

Po ośmiu dniach podróży, przeplatanej różnemi przygodami, karawana nasza doszła do oazy Bu-Sada. Tu pożegnałem się z synem kaida Liszańskiego uściskawszy go po bratersku. U młodzieńca łzy wystąpiły w oczach przy pożegnaniu; dał mi na pamiątkę swój burnus, haik i turban, a ja jemu pugnał ładny. Żegnając się prosił nie zapominać „o swoim bracie Janie.” Czy los pozwoli jeszcze kiedy obaczyć tego przybranego brata?

Dr. J. Stella Sawicki.

PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA i jej główni przedstawiciele,

przez Dra Bonifacjusza Nemo.

I.

Spostrzeżenie, doświadczenie, oto magiczne wyrazy, po za którymi nie chcą o niczem innem wiedzieć ci wszyscy co hołdują dzisiejszemu pozytywizmowi lub materializmowi. Większa część pozytywistów „*wyrzuca za drzwi*” ze swojej świątyni wiedzy, naukę o duszy, czyli psychologię, jeden zaś z koryfeuszów teraźniejszego materializmu pozwala sobie użyć podobnego bluźnierstwa mówiąc o Bogu. Tymczasem wbrew temu przeczącemu ruchowi myśli, rozwija się w bieżącym wieku inny, twierdzący, wznoszący budowę psychologię na tychże samych obowiązkach przez materialistów zasadach doświadczalnych, na ścisłem spostrzeżeniu. Uważamy więc za stosowne udzielać niekiedy czytelnikom naszym wiadomości o najgłówniejszych zasadach *psychologii doświadczalnej*, co tem bardziej zdaje nam się na czasie, że dla umiejętności tej dziwną okazują obojętność nasi *pozytywiści*. Chlubią się oni nazwą rozkrzewicielei dzieł prawdziwie naukowych, bo na doświadczeniu opartych, za bajecznie niską cenę,

lecz w katalogu książek w tym kierunku bądź już wydanych, bądź dopiero zapowiedzianych, nie spotykamy się z żadnem dziełem wykładającym psychologię doświadczalną. Czyżby przyczyna tego ztąd pochodziła, iż na okładce czasopisma *Révue des Cours scientifiques*, w liczbie jednofrankowych dziełek popularyzujących pozytywizm, nie ma zwykle wzmianki o doświadczalnej psychologii? Tytuły tych dziełek bowiem najczęściej pojawiają się w warszawskich wydawnictwach tego rodzaju, a nowoczesna nauka psychologię na doświadczeniu opartej powstała w Niemczech i pomiędzy niemieckimi uczonymi liczy najznakomitszych przedstawicieli swoich. Nauka ta wprawdzie nie wydała równie świetnych owoców, jak chemija, mechanika lub fizyka, lecz przyczynę tego upatrywać należy w jej młodości, nie miała ona jeszcze dosyć czasu, aby się należycie rozwinąć. Rezultaty jej jednak są nadzwyczajnie ważne. Psychologowie bowiem pracujący w tym kierunku, za pomocą doświadczenia, spostrzegania, własnej broni materialistów, dowodzą istnienia nieśmiertelnej duszy, oraz nierozdzielności z tem ostatniem pojęciem o Bogu. Wprawdzie poglądy niejednego z pomiędzy tych uczonych, jak to poniżej zobaczymy, niezupełnie są zgodne z naszymi, z chrześcijańskimi poglądami, ale są też pomiędzy nimi znakomici myśliciele których ostateczne wyniki na drodze doświadczalnego badania stwierdzają pojęcia o duchowej istocie rozwijane w zasadach wiary naszej. Ze zaś doświadczalna metoda użyta przy badaniu duchowych zjawisk nie zawsze doprowadzała do prawdy, to pochodzi raz z błędów popełnionych podczas samego badania, a powtórę z błędnych wniosków, wysnutych ze spostrzeżeń rzeczywistych, prawdziwych. Po takim zastrzeżeniu przechodzimy naprzód do skreślenia w ogólnym zarysie rozwoju w ciągu bieżącego wieku psychologię doświadczalną w Niemczech.

Nasza duchowa istota i jej objawy mogą być w dwojaki sposób badane, spostrzegane, czyli poddawane doświadczeniu, a mianowicie raz za pomocą zmysłów, a powtórę za pomocą wewnętrznej obserwacyi, nazwanej przez niektórych badaczy: *zmysłem wewnętrznym*, który niczem innem nie jest, jak tylko poczuciem naszej własnej osobistości, naszego własnego ja. Żaden człowiek rozsądny nie może zaprzeczyć temu ostatniemu sposobowi spostrzegania. Gdy bowiem myśl jaka nowa powstanie w umyśle, to czyliż nie jesteśmy w stanie ją badać, oznaczyć jej jakość, przyrodę, odróżnić wreszcie, rozemniać, czy to jest pojęcie, *idea*, myśl, lub też uczucie powstałe w duszy. Myśl tę wreszcie możemy porównać do innych myśli, poszukiwać stosunków łączących ją z innymi zjawiskami naszej duszy, jak naprzykład z uczuciami i pragnieniami. Postępując w ten sposób dochodzimy do wysledzenia pewnych praw, według których odbywają się czynności naszej duchowej istoty. Porównyując wreszcie spostrzeżenia własne, z wynikami spostrzeżeń innych badaczy, wyprowadzamy wnioski o ile doświadczenia przez nas dokonane były dokładnemi lub błędnymi. Rezultata w ten sposób sprawdzone, zestawiamy z wypadkami zebranymi przez inne nauki doświadczalne zajmujące się człowiekiem, ażeby tym sposobem rzucić światło na stosunki zachodzące pomiędzy duszą a ciałem, wyjaśnić węzły łączące duchową istotę z fizycznym organizmem.

Psychologija doświadczalna jest równie dawną nauką, jak i sam rodzaj ludzki, gdyż człowiek posiadając świadomość obserwował stale co się z nim samym dzieje, sposób ten jednak spostrzegania nie zawsze był ścisły i dokładny. Gdyż rozbierać i badać własną duchową istotę nie jest rzeczą tak łatwą, jakby to się na pozór wydawać mogło. Zjawiska duszy nie są bynajmniej przedmiotami ustalonymi, którymby się można dowolnie w każdej chwili przypatrywać. Myśli, uczucia, popędy, raz zjawiają się, to znowu nikną. Niejednokrotnie zjawisko umy-

słowe, na które szczególnie pragnąłbym zwrócić uwagę, znika mi raptownie, tak, że dalsze badanie nad niem, zmuszony jestem prowadzić jedynie przy zwodniczej częstokroć pomocy pamięci.

Nadto spostrzeganie wewnętrzne nie może się posługiwać żadnymi przyrządami pomocniczymi, które tak dzielnie przyczyniają się do ułatwienia i udoskonalenia badania za pomocą zmysłów. Nakoniec miłość własna i wyobrażenia, stanowią nie małoważne przeszkody przy rozważaniu naszych własnych zjawisk umysłowych.

Czterej słynni myśliciele niemieccy, z końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia, którzy miano filozofii ściśle zespolili z nazwiskiem swej odczynny, Kant, Fichte, Schelling i Hegel, zajmowali się przeważnie rozwiązaniem zadań logiki i metafizyki. Herbart dopiero jest pierwszym który naukę psychologii wprowadził na tór doświadczalny.

W pośród ciągłych zmian we własnym życiu domowym i przewrotów politycznych owego czasu, uczony ten nie przestawał pracować nad reformą rozmaitych gałęzi filozofii, rozwijając działalność prawdziwie zdumiewającą; dodajmy do tego, że Herbart naukę o Moralności, którą uważał za gałąź estetyki, odnosił do pięciu praktycznych idei, a mianowicie do idei doskonałości, dobroci, czyli *życzliwości*, *sprawiedliwości*, *ślusznosci* i *wolności moralnej* czyli *wewnętrznej* (innere Freiheit). W polityce swojej trzymał się on dążności zachowawczych. *Pedagogika* wreszcie jego, napojona jest gorącą miłością dla młodzieży. Zapal Herbartu dla tej ostatniej umiejętności był tak wielki, że pragnął go wykazać nie tylko słowem, ale i czynem, obok zajęć nauczycielskich w uniwersytecie, urządził jeszcze w domu swoim zakład wychowawczy. Pod względem logiki, Herbart jest przeciwnikiem zasad głoszonych przez Hegla i jego zwolenników. Logika i metafizyka są dla niego naukami zupełnie odrębnymi. W metafizyce przyjmuje, iż świat cały złożony jest z istot rzeczywistych i pojedynczych, prostych; dusza ludzka jest więc według niego istotą również prostą, niezłożoną, a więc nieśmiertelną. Zbliża się przeto pod tym względem do Leibniza, a wprost jest przeciwnym panteizmowi Spinozy; obok tegoż zapaleń zwałczal bezwzględny idealizm Fichte'go¹⁾ jak również i połowiczny idealizm Kanta. Z tego też względu może być słusznie uważanym jako krzewiciel nowoczesnego realizmu.

W psychologii więc, jak to dopiero co powiedzieliśmy, twierdzi on, iż dusza jest istotą najzupełniej pojedynczą, prostą. Przy badaniu psychologicznym, rozum powinien wspierać doświadczenie. Punktem wyjścia dla badania tego rodzaju winno być doświadczenie wewnętrzne; dla wyjaśnienia dopiero faktów na tej drodze zdobytych ucieka się do metafizyki. Metoda używana przy badaniu psychologicznym jest ściśle naukową. Zajmuje się najprzód rozbiorem zjawisk, ażeby tym sposobem rozpoznać pierwiastki zasadnicze, przez porównywanie zaś tych ostatnich ze sobą, dochodzi do wyjaśnienia w jaki sposób takowe składają się w pewną całość.

Metodę rzeczoną zastosowywa Herbart do badania duszy. Uważa on za wielce niewłaściwe przyjmowanie władz duchowych, jakimi są rozum, pamięć, wyobrażenia, wolna wola, za istoty rzeczywiste, odrębne. To co oznaczamy temi wyrazami, powiada on, są to tylko rozmaite sposoby wzajemnego na siebie oddziaływania rozmaitych pierwiastków życia duszy. Pierwiastki zaś te dają się sprowadzić do następnych trzech działów: 1) *wyobrażenia* czyli *pojęcia*, *idea* (Vorstellungen); 2) *uczucia*; 3) *pragnienia*, *che-*

ci, *popędy*, *skłonności*, *namiętności* i *instynkty*. Wszelkie wyobrażenie wynika bądź z działania na duszę narządu nerwowego i wtedy zowie się percepcją, lub też jest przypomnieniem percepcji.

Lecz co to jest wyobrażenie? jaki jest stosunek jego z duszą? Na to odpowiada nam Herbart, iż wyobrażenie jest *siłą*. Siła owa bierze początek ze wzajemnego oddziaływania duszy i ciała, a przyroda czyli jakość jej, zależną jest od stosunku zachodzącego pomiędzy duchową a cielesną istotą. Ponieważ zaś dusza jest najzupełniej prostą, jednolitą, przeto wyobrażenia mieszczące się w niej, muszą koniecznie pozostawać ze sobą w związku. Wyobrażenia znowu są *siłami*, podległymi prawie tymże samym prawom co i *siły fizyczne*. Te więc przeto z pomiędzy owych sił, które są jednorodnej natury, wzmacniają się; te zaś które są równe sobie, ale przeciwne, zobojetniają się, nie niszcząc się wszakże wzajemnie; te wreszcie które są różnorodnej natury, łączą się ze sobą, tworząc rozmaite wyobrażenia złożone. Przyjawszy więc taką zasadę dla wyobrażeń, łatwo można zrozumieć, jak dla nich podobnie, jak dla sił fizycznych, Herbart podał formuły matematyczne, wykazujące w jakim stosunku też wyobrażenia zobojetniają się wzmacniają lub zobojetniają. Takim to sposobem powstała *psychologija matematyczna*, w której niejednokrotnie zastosowana została wyższa matematyka.

Każde wyobrażenie o tyle jest jasnym lub ciemnym, o ile jest swobodnym, wolnym lub też zobojetnionem przez inne wyobrażenia. Wyobrażenie mocne, silne, panuje nad słabem, a przeciwnem mu wyobrażeniem, czyli zaciemnia to ostatnie. Tak się tłumaczy *zapomnienie*.

Całość jasnych wyobrażeń, tworzy to co nazywamy *świadomością*. Pozostałe zaś, niejasne wyobrażenia, leżą niby na dnie duszy, przyćmione przez inne wyobrażenia, przeciwnego rodzaju; gdy zaś te ostatnie zostaną zobojetnione, wówczas pierwsze wypływają niby na powierzchnię duszy, na światło dzienne, dostając się do świadomości. Niejasne więc wyobrażenie, może być *odtworzonem*. Takie jest wyjaśnienie *pamięci*. Dodajmy jeszcze że wyobrażenie raz powstałe w duszy, zawsze w niej pozostaje. Zapomnienie więc zupełne jest niemożliwe. Zapominamy wprawdzie wiele rzeczy, ale zawsze istnieje możliwość powrotu do świadomości długich lat, które już uważaliśmy za zupełnie zagubione.

Od stopnia więc siły danego wyobrażenia zależy jego jasność, a części i od jego jakości czyli *zawartosci*, pochodzącej od pewnego oznaczonego przedmiotu. Owóż ta jakość wyobrażanego przedmiotu odgrywa ważną rolę przy odtwarzaniu pojęć, czyli przy działalności przypomnienia, pamięci. Dwa pojęcia bądź podobne do siebie, bądź też wręcz sobie przeciwne, sprzeczne, kojarzą się ze sobą, w ten sposób, że gdy jedno z nich przychodzi do świadomości, to natychmiast pociąga za sobą drugie. Podobieństwo więc pojęcia słabego do silniejszego, może w pewnej mierze podnieść siłę owego słabszego pojęcia.

Tym więc sposobem następuje kojarzenie się pojęć, czyli tak nazwana *assocjacja idei*, bądź na zasadzie podobieństwa, *analogii*, lub też na podstawie sprzeczności, *kontrastu*. Trzecią wreszcie przyczynę wpływającą na kojarzenie się pojęć, stanowią warunki, wśród których wyobrażenie tworzyło się w umyśle, lub mieściło poprzednio w świadomości. Jeżeli dwa wyobrażenia przychodzą do świadomości prawie jednocześnie, jedno zaraz za drugim, wówczas również wiążą się one ze sobą. Gdy więc przypominamy sobie jedno z pomiędzy nich, prawie zawsze przyjdzie nam na myśl i drugie. Tym więc sposobem tworzą się w duszy całe szeregi pojęć powiązanych ze sobą, pojęć, które szybko przypominamy sobie, deklamując naprzykład wiersze, lub grając z pamięci jaki utwór muzyczny.

W taki sposób wyjaśnia Herbart zasady kojarzenia się pojęć.

Znajomość rozmaitych stosunków według których pojęcia kojarzą się i wiążą ze sobą, jest nader użyteczną, na niej bowiem polega nauka mająca na celu ułatwienie pamięci. Umiejętność owa nosi nazwę *mnemoniki*.

Poruszenia woli, *żądania*, czyli *władza chętnia*, wówczas się objawia, skoro wyobrażenie ciemne, stara się, czyli usiłuje stać się jasnym, gdy pragnie ono wydobyć się na wierzch, walcząc z przeszkodami, które je niejako na dnie duszy utrzymują.

Zródłem uczuć według Herbarta są, również wyobrażenia. Uczucie, podług teoryjnego, wówczas powstaje gdy pewne wyobrażenie jest pociągane przez inne w różnorodne kierunki, a gdy przez to podlega pewnego rodzaju uciskowi (Klemme).

Wszystkie dzieła Herbarta, wydane zostały przez Hartensteina, w 12 tomach. Za dni naszych filozofija Herbarta ma pewną liczbę gorących zwolenników, którzy zasady mistrza swego uzupełniają i wyjaśniają w poglądach drukowanych w czasopiśmie: „Zeitschrift für exacte Philosophie,” wydawanem w Lipsku.

Niemniej wszakże nauka rzeczona ma licznych przeciwników. Do najznakomitszych pomiędzy niemi zaliczyć wypada *Gustawa Teodora Fechner'a*, twórcę słynnej *psycho-fizyki*, to jest nauki doświadczalnej wyjaśniającej prawa, jakie zachodzą pomiędzy ciałem a duszą. Zasadnicze prawo tej umiejętności jest to, że wszelkie istnienie, powstawanie i ruch, czyli działalność w sferze duchowej, pociąga za sobą nieodwołalnie pewne istnienie, powstawanie i ruch w sferze cielesnej, która jest niejako odbiciem pierwszej, to jest duchowej strony. Stosunek zaś duszy do ciała określa on w dwóch następnych formułach: dusza jest objawem świadomości, wewnętrznem, teje samej istoty, która się na zewnątrz przedstawia jako ciało, a obok tego: dusza jest *zasadą*, czyli *pierwiastkiem ciała*, (Princip des Leibes), jego składu i rozwoju. W dwóch dziełach, z których jedno nosi tytuł: *Zend-avesta, Das Büchlein vom Leben nach dem Tode* (Zend-avesta, dziełko o życiu przyszedłym), a drugie: *Ueber die Seelenfrage* (o duszy) wyklada autor teoryę swoją nie tylko o duszy ludzkiej, ale dowodzi iż rośliny, zwierzęta i ciała niebieskie, jak planety, gwiazdy i t. d. posiadają również dusze rozmaitego stopnia, odrębne czyli oddzielne dla każdego osobnika po szczególe, dusze rozmaitego stopnia. Wszystkie te dusze roślinne, zwierzęce, ludzkie, anielskie, czyli ciała niebieskie, mieszczą się łącznie w jednym wielkim duchu, którym jest Pan Bóg, nie tracąc przytem nigdy swojej odrębności, czyli indywidualności, niby małe koła, kółka i kółeczka, w obrębie jednego wielkiego koła. W Bogu jest nieskończoność, wszelka zaś skończoność, którą widzimy przed sobą i na około siebie, niezem innem nie jest jak tylko cząstką owej nieskończoności, a zatem jest również w Bogu. Nie natura więc Wszechświata, jak utrzymują panteiści, jest Bogiem, ale natura cała jest w Bogu. Toż samo co ze światem widzialnym, fizycznym, ma według Fechnera miejsce i ze światem duchowym. Nie dusza pojedyncze są bogami, ale są wszystkie w Bogu.

Posłuchajmy teraz co mówi Fechner o *nieśmiertelności duszy*. „Ciało ludzkie,” powiada on, „zmienia się codziennie częściowo, w przeciągu zaś roku w zupełności, wracając napowrót do świata zewnętrznego, i czerpiąc z tego ostatniego ciągle coraz nowe pierwiastki. Dusza więc jest nie tylko zasadą łączącą cząstki naszego ciała, ale też i wpływającą na ich zmiany i kombinacje. Im szybsza jest zmiana materji w ciele, tem szybszą jest działalność duchowa. Wśród zmian zachodzących w ciele, postępuje człowiek z jednego stopnia życiowego na drugi; obok rozszerzania się i rozwijania ciała, rozwija się również i dusza.

Jeżeli więc pójdziemy dalej w tym kierunku, to nasuwa się nam mimowolnie pogląd, iż śmierć

¹⁾ Dobre porównanie Herbarta i Fichte'go podaje nasz *Gołuchowski* (Patrz *Dumania*. T. I. str. 596). „Herbart,” powiada on „przypatruje się wszystkiemu zewnątrz i wszystko przedstawia mu się jako obiekt istniejący, nawet własne oznaczenia myśli występują tu na sposób rzeczy zewnętrznych. Fichte, stawia się bezpośrednio na miejscu myślącego subjektu, jest sam tém monadycznym ja,” i wszystko zamienia mu się w czyste oznaczenia myśli, nawet przedmioty występują tylko jako myśli subjecktów, z niego na zewnątrz.

87.

jest tylko szybko i nagłą zmianą ciała, zamiast stopniowej i powolnej, jaką w życiu doczesnym widzimy, a ztąd też jest szybkim posunięciem się ku górze, na wielkiej drabinie życia.

Dusza już i teraz nie jest przytwierdzoną do jednego li tylko punktu świata materialnego. Jest ona zasadą i łącznikiem całego kręgu cielesnych czynności, które raz wznoszą się i opadają, to znowu rozszerzają i ścieśniają, lub wreszcie tu i owdzie poruszają. Czynności te w śnie upadają pod poziom, na którym jaśnieje świadomość; podczas zaś czuwania wznoszą się po nad ów poziom, dochodzą wreszcie do najwyższego stopnia rozwoju, człowiek cały wtedy staje się okiem i uchem, czynności umysłowe doszedłszy do najwyższego stopnia działalności, rozpraszają się wreszcie, potem znowu skupiają do wewnątrz, toną w głębi duszy, to znów zwracają na zewnątrz, odbierając wrażenia od świata otaczającego. Czynności cielesne idą tu ciągle w parze z duchowymi, szczyt tych czynności, jest zarazem szczytem działalności duchowej.

Jeżeli rozszerzymy i przedłużymy w tym kierunku nasze badania, to łatwo nabierzemy przekonania, iż jeżeli dusza w doczesnym życiu zdolną jest poruszać się w małej części wielkiej całości tego świata, to po śmierci będzie tem zdolniejszą i swobodniejszą w odbywaniu ruchów takich. Wielka część naszego ciała, a nawet i mózgu, może być zniszczoną, a byle tylko zniszczenie owe nie odbywało się zbyt raptownie, to dusza nie obumiera, nie cierpi nawet, byle tylko pozostałe ciało miało jeszcze dostateczne środki do przedstawienia jej na zewnątrz... Jeżeli więc rozszerzymy i rozwinimy w tym kierunku nasz pogląd, to przedstawi nam się możność istnienia duszy po zniszczeniu całego ciała... Zastanówmy się nad obrazem powstającym w oku naszym. Ażeby ów obraz mógł powstać, ciało musi dostarczyć do tego materii, soków, sił, dusza zaś okazać musi zdolność do przyjmowania wrażeń. Obraz gaśnie, ginie, materje, soki i siły powracają do całej masy naszego ciała, z którego powstały; wrażenie wszakże pozostawia po sobie przypomnienie, pamięć wrażenia; wrażenie owe wstępuje do nowego państwa, w którym się snują pojęcia i myśli, spotyka się tam ze wspomnieniami innych, dawniejszych obrazów, i łącznie z nimi snuje dalszy wątek umysłowego żywota. Rozszerzmy i rozwinmy nasze poglądy w tym kierunku, to okaże się nam możliwość życia duchowego, opartego na przypomnieniu poprzednio doznanych obrazów i wrażeń, wtedy także gdy zgaśnie cały obraz doczesnego żywota, a materje, soki i siły powrócą do ziemi, do wielkiego ciała, z którego wzięły początek, nasza zaś duchowa istota, społem z innymi duszami przejdzie na nowy, wyższy stopień życia... Kto zaś zapyta gdzie będzie się wtedy znajdować dusza nasza, to można go spytać nawzajem gdzie się znajduje za życia, a skoro nie możemy dojść na pewno jej umiejscowienia doczesnego, to tem trudniej nam wskazać na jej umiejscowienie zagrobowe

„Dziecię przed urodzeniem” powiada Fechner dalej, ¹⁾ „ściśle było złączone z matką, przy przyjściu jego na świat, zdawało się iż zrywa wszelkie dawne węzły, nie śmierć jednak nastąpiła przez to, ale życie, i to życie nie oderwane od poprzedniego, ale od niego zupełnie inne, wyższe, doskonalsze, w którym ma już możność swobodnego obcowania z temi, którzy weszli na tenże sam stopień żywota. Rozszerzmy i rozwinmy nasze poglądy w tym kierunku, to przedstawi się nam widok życia przyszłego, w którym po zerwaniu naszych teraźniejszych, doczesnych węzłów, a więc znowu pozornej śmierci, wstąpimy w nowe życie, również nieoderwane od poprzedniego, lecz już od niego doskonalsze, zupełniejsze, wyższe, obejmujące większe koło działania, w którym daleko swo-

bodniej bądziemy mogli obcować z temi, którzy wejdą na tenże sam stopień żywota.”

A w innym miejscu powiada znowu ¹⁾: „Nasze życie przyszłe może być odnalezione na tej tylko drodze, na której odnajdujemy Boga i wyższe od nas duchy, pojęcia zaś o Bogu i o wyższych duchach, wtedy dopiero należy się ukształtować i rozwinąć, gdy w związku z niemi rozwijać poczniemy pojęcie o własnym naszym życiu przyszłym.”

Niesłusznie może nazywają niektórzy krytycy Fechnera monistą, czyli panteistą, idealistą. Wierzy on mocno w indywidualność, to jest odrębność dusz, nawet po śmierci, mniema tylko że te dusze nie mogą się znajdować po za obrębem Ducha Bożego, ale wszystkie mieszczą się w tym najwyższym Duchu, niby maleńkie kółka, objęte przez wielkie koła. Nauka jednak Fechnera o tyle jest materialistyczną, iż wszelkie życie duchowe musi być, czyli raczej jest zawsze złączonym z materialnym. Nie ma według niego ducha bez ciała. Ciałem Pana Boga jest wszechświat. Wszystkie więc istoty ożywione według tego poglądu ukazują się nam niby pasożyty żyjące życiem odrębnym, na jednym, wielkim ciele wszechświata. Dusza nasza, w życiu doczesnym, potrzebuje mózgu i w ogóle systemu nerwowego, do swego przejawiania się na zewnątrz. Warunki te w życiu przyszłym zagrobowym się zmieniają, a dusza przejawiać się ma za pośrednictwem innych czynników materialnych, których wszakże do przejawiania swej działalności nieodzownie potrzebuje. „Materialści”, powiada Fechner, „nie chcą nic wiedzieć o Panu Bogu, ponieważ duszę uważają za produkt szczęśliwego układu cząstek materialnych mózgu. Dla czego jednak w ogólnym układzie materji, obejmującym w sobie wszystkie mózgi ludzkie i zwierzęce, nie chcą czy nie mogą dopatrzeć się owego wytwarzania się siły duchowej, to rzecz zaiste dziwna” ²⁾.

Rozbierając szczegółowo objawy psychiczne u roślin, Fechner stara się wykazać iż dusza tak w roślinach, jak i w niższych zwierzętach istnieje, pomimo iż nie ma w nich ani mózgu, ani w ogóle narządu nerwowego. Ztąd wyprowadza wniosek, że mózgowie jest tylko jedną z form, za pomocą których przejawia się na zewnątrz działanie duchowe, że jednak formy te mogą być bardzo rozliczne, to autor stara się wyjaśnić za pomocą przykładów. Jak już wspomnieliśmy powyżej, przyjmuje on każde ciało niebieskie za istotę obdarzoną duszą, i to nawet duszą wyższego rzędu, anielską. Otóż organem materialnym dla duszy naszej ziemi, organem za pomocą którego dusza jej przejawia się na zewnątrz, jest jej (ziemi) własna powierzchnia.

Fechner przeczy psychologicznemu poglądowi Herbartu, jakoby dusza miała być istotą jak najzupełniej prostą, przyjmuje on jedność duszy, lecz nie może się zgodzić na to ażeby dusza nie miała żadnej przestrzeni, opierając się na tem zjawisku anatomicznym, iż nerwy nie schodzą się w mózgowiu w jednym punkcie, ale przeciwnie dochodzą do kilku odrębnych miejscowości. Nie podobna jednak tego argumentu, równie jak i wielu innych podawanych przez Fechnera, uważać za coś stanowczego, niezbitego. Mniemanie takie wyraża też inny znakomity niemiecki psycholog doświadczalny, Lotze, autor między innymi sławnych dwóch dzieł, z których jedno nosi tytuł: *Microcosmos*, a drugie: *Psychologija lekarska*. Lotze wszakże nie staje w szeregu uczniów Herbartu.

Filozofja Herbartu ma jeszcze innych przeciwników, którzy atoli mniej się od niego oddalają niż Fechner. Do nich zaliczają się głównie *Ulrici*, oraz *J. H. Fichte*, zwany także młodszym Fichte, dla odróżnienia od dziada, Emanuela, słynnego filozofa, o którym wspominaliśmy na początku niniejszego artykułu. Obaj

ci uczeni, obdarzeni umysłem obszernym i głębokim, w badaniach swoich psychologicznych posiłkują się bardzo często wiadomościami z nauk przyrodniczych. Tak na przykład *Ulrici*, w dziele: *Gott und Mensch, Versuch einer Psychologie des Menschen* (Bóg i człowiek, psychologija człowieka), bardzo bogatem w rozliczne fakta, przedstawia w sposób jasny i dokładny, najświeższe odkrycia na polu fizyologii nerwów. Obaj dopiero co wymienieni psychologowie są monadystami, zgodni w tem z Herbartem iż dusza jest istotą rzeczywistą, przynajmniej jej jednak pewną rozległość, pewną przestrzeń, gdyż gdyby tak nie było, powiada Fichte, to nie moglibyśmy utworzyć sobie w umyśle pojęcia o ciele mającym rozległość, zajmującym część przestrzeni. Pojęcia, czyli idee, kojarzą się ze sobą, podług Fichte'go, na prawach logiki. Znaczną część swojej *psychologii*, poświęcił Fichte wykazaniu możliwości stosunków pomiędzy dwoma duchami, niezależnie od ciała. Do tego rodzaju stosunków zalicza on nasz stosunek do Boga. Pewien odcień mistycyzmu odróżnia poglądy Fichtego od poglądów Herbartu. Drugą różnicę pomiędzy psychologiją obu dopiero co wymienionych uczonych a Herbartowską, stanowi ta okoliczność, iż oni zasadę działalności zjawisk duchowych upatrują nie w pojęciach, lecz w samej-że duszy. W rzeczy samej jednak różnica ta nie jest zbyt wielką, gdyż i dla Herbartu pojęcia były rezultatem, czyli wynikiem czynności duszy.

Do znakomitszych przeciwników Herbartu, należy jeszcze zaliczyć *Langégo*, który w dziele: *Grundlegung der mathematischen Psychologie* (Duisburg, 1855), stara się zwalczyć jego zasady. W nauce jednak psychologicznej Herbartu znajdujemy wiele danych, które możemy przyjąć jako pewne; do takich należy zaliczyć pojęcie o duszy jako istocie *pojedynczej i prostej*, nie złożonej, pojęciu stwierdzonemu przez spozostreganie wewnętrzne. Słynny matematyk, *Drobisch*, stwierdził dokładność rachunków, na jakich opierają się formuły matematyczno-psychologiczne Herbartu.

Na tym kończymy dzisiejszy przegląd psychologiji doświadczalnej. Zapyta nas może czytelnik jaki cel mieliśmy w przytoczeniu tak treściwym niektórych wiadomości, zasługujących na nazwę zaledwie bibliograficznych, z dziedziny tej obszernej umiejętności. Odpowiemy mu na to iż cel nasz był dwójaki: po pierwsze, wykazanie jako po za obrębem filozofii pozytywnej i materialistycznej, istnieje obecnie inna, idealna, a jednak na realnych podstawach oparta; powtóre, iż badania na tej drodze doprowadziły do wykazania dwóch kardynalnych prawd, istnienia Boga i nieśmiertelności duszy naszej, prawd, którym stawiają *veto* materialyści. W przyszłości postaramy się zapoznać czytelników z niektórymi zasadami nowszymi psychologiji doświadczalnej. Nie napotkamy tam już owych rażących niezgodności z pojęciami chrześcijańskimi, jakie widzieliśmy w nauce Fechnera, który jednak sam pragnie być pożywanym za racjonalnego chrześcijanina.

Z powodu artykułu p. Teresy Prażmowskiej.

Z prawdziwym zajęciem czytałam artykuł w 3-cim N-e *Kroniki Rodzinnej* bieżącego roku umieszczony, pod tytułem *Szkoła robot kobiecych w Reutlingen*. Nie powiem że artykuł ten przemówił do mego przekonania — nie, był on samem wyrażeniem tego przekonania, jakby echem skrytych a jałowych pragnień moich na tem polu. Zachęcić do szczerej a wytrwałej pracy wszystkie w ogóle kobiety wedle miary ich zdolności, i wszystkim też w ogóle, nie wchodząc w to kim są i z kąd pochodzą, z miasta czy ze wsi, z okolic Warszawy lub zdalszych prowincyj, ani też do jakiej klasy w społeczeństwie należą, znajomym i nieznanym, protegowanym i obojętnym, bezstronnie ułatwić

¹⁾ Patrz: Zend Avesta. III Theil. oraz: Ueber die Seelenfrage. Str. 122.

¹⁾ Patrz: Ueber die Seelenfrage. Str. 123 i 124.

²⁾ Patrz: Ueber die Seelenfrage. Str. 217.

odbyt owoców tej pracy (co właśnie najlepszą jest do niej zachętą)—słowem otworzyć wszystkim drogę zarobkowania jak kto może, uczciwym a pożytecznym sposobem, było zawsze jednym z celów mych marzeń. O cóż się bowiem rozbijają rozpaczliwe nieraz i z biedy na wszystkie strony rzucające się usiłowania osób chcących pracować, czujących w sobie pociąg i zamiłowanie do pracy z celem, a nadto potrzebujących koniecznie same przez się cośkolwiek zarobić? O brak zachęty i ułatwienia.—Od takiego braku na każdym polu opadają ręce! Skutkiem zaś tego: apatia — albo też niezadowolone, wytwarzające najniedorzeczniejsze teorie i jak najmniej chrześcijańskie uczucia. Trzeba być przede wszystkim sprawiedliwym. Ganimy, i słusznie, wszystkie te chorobliwe aspiracje do przewróconego porządku rzeczy na świecie, w które czasy dzisiejsze obfitują —róbmyż co można, by zapobieżeniem głównej potrzeby w sposób praktyczny, niespokojne umysły zwrócić na właściwsze i bardziej odpowiednie celom Opatrzności drogi. Otwórzmy, o ile to od nas zależy może, perspektywę zadowololenia jakie daje, i niezawisłości do jakiej prowadzi praca, chociażby tylko zrazu bardzo skromne—ukażmy możliwość nie płonnej zajęcia, nie jałowych trudów, a znajdzie się i zamiłowanie pracy i uspokojenie tej burzliwości tak ogólnie dziś fermentującej na dnie każdego niemal serca.

Wyczytawszy wciąż zeszłego lata ogłoszenie projektu stowarzyszenia pod nazwą *zjednoczonej pracy kobiet*, ucieszyłam się bardzo, myśląc że się w niem właśnie znajdzie to, coby mogło zapobiedz mniej więcej wielkiej, ogólnej potrzebie. Ale przy bliższym rozpatrzeniu się w projekcie, nie znalazłam w nim tego, czegom się spodziewała. Artykuł pani Teresy Prądmowskiej przeciwnie, zawiera w sobie nasienie dobre, ziarno wprawdzie drobnutkie, lecz z któregoby może i na naszej niwie wyrosnąć mogło wielkie i szeroko opiekuńcze swe konary rozpościerające drzewo, któreby i dobroczynnego cieniu wielu użyzyć i pożądanym owoców niemało przynieść mogło. Z tego ziarnka nasamprzód u mnie wylęła się myśl, którą też natychmiast wszystkim czytelnikom i czytelniczkom *Kroniki Rodzinnej* ze wszelką skromnością przedłożyłam. O ile zaś ona w praktyce zastosowana być może do ogólnej potrzeby, to mieszkańcy dobroczynnej a ruchliwej Warszawy najlepiej osądzić zdołają.

Słyszę co rok o Bazarze urządzanym przed świętami Bożego Narodzenia, w którym damy z towarzystwa na czas stają się magazynierkami, by w skutek chętniej pomocy w tem kupców, przysporzyć jałmużny potrzebującym, których liczba, niestety! zkażdym dniem wzrasta na świecie. Urozmaicenie zabawy jednych, w ten sposób służy ku pożytkowi drugich. Czyby nie można z tego skorzystać by zrobić początek nowemu dziełu? Czyby nie można do tych wszystkich sklepów jakie się tam w te dni rozkładają, dodać jeszcze jeden, nowozaimprovizowany a łączący w sobie aż trzy korzyści, a w przyszłości może i daleko więcej, bo korzyści moralne nieobrachowane? Sklep rozmaitych robót kobiecych, od najprostszych do najwykwintniejszych, i w którymby nawet najprostsze pożądanym jeszcze może były poniekąd od innych, a to dla tego że mogłyby mieć na celu dobroczynność podwójną. Gdyby np. sklep ten zawierał znaczną liczbę pończoch wełnianych wielkich i małych, chustek i chusteczek ciepłych, kapturków, kaftaników i kaftaników dziecińczych, spódniczek i t. p. nie jedna z pań możnych a dobroczynnych, na których, Bogu dzięki, w Warszawie nie zbywa, dałaby się może przy tej zręczności zachęcić do uszczęśliwienia na gwiazdkę temi tak pożytecznymi przedmiotami nie jednej biednej rodziny.—Do owego sklepu nadsyłane byłoby mogły zewsząd roboty z oznaczeniem ich cen, o ile być może umiarkowanych, dla łatwiejszego odbytu—wrazie zaś jego powodzenia, możeby się z czasem

stały magazyn tym podobnych przedmiotów i wszelkiego rodzaju robót kobiecych, przysyłanych na komis do wyprzedania, mógł urządzić. W takim razie z czasem i u nas w różnych miejscach mogłyby powstać zawiązki takich małych *Reutlingen*. Dla uproszczenia stosunków i zapobieżenia zbyt długiemu oczekiwaniu na zysk zrazu niepewny, możeby się dały urządzić w różnych miejscowościach bióra, któreby wzięły na siebie przesyłanie, a nawet zakupywanie od bardziej potrzebujących, tych rozmaitych wyrobów—ale toby już większy koszt za sobą pociągnęło i potrzebowało wyłożenia kapitału. Nie mówię że to wszystko od razu przyszłoby z łatwością—ach! nie, nie—i stokroć nie! gdzież bowiem *pieczone gołąbki, lecą do gąbki?* Gdyby wszystko samo przez się mogło się robić, toby i praca z pewnego względu stała się niepotrzebną—o poświęceniu i zasłudze i mowyby już być niemożliwo. Czy światby się przez to stał szczęśliwszym, weselszym, bardziej zadowolonym? Bardzo wątpię, ale nie o to teraz chodzi —wszystkie szczegóły wykonania mogłyby być omyslane później przez ludzi bardziej odemnie praktycznych i obznajmionych z temi rzeczami—chodzi tu tylko o myśl samą i o decyzję czy mogłaby być ona przyprowadzoną do skutku lub nie. Mnie się zdaje, że projekt jaki tu przedstawiam do bliższego rozpatrzenia i głębszego omyslenia, mógłby mieć przyszłość nader pożyteczną, mógłby też z czasem za łaską boską i pomocą dobrych ludzi bardzo się rozwinąć. Dla tego też pośpieszam z udzieleniem go *Kronice* i jej czytelnikom — bo choć przyszłe święta Bożego Narodzenia i przyszły Bazar jeszcze bardzo daleko, jednak jeżeliby się myśl tu rzucona przyjąć miała, to o przyprowadzeniu jej do skutku należałoby zaważać zacząć myśleć.

KAROL LINÉUSZ

PRZEZ

Wawrzeńca Hr. Engeström.

Wstęp.

W dziedzinie ducha, w umysłowym rozwoju ludzkości, w zakresie nauki ścisłej i na wyższych sztuki, ustają wszelkie granice społeczne i polityczne człowieka i narodu. W olbrzymiej harmonii świata, który jest dziełem Bożym i jednolitą całość stanowi, dwa są tylko czynniki, dwie prawdy i dwie potęgi, których nierozzerwaną spójnią, źródłem, podstawą i rozwiązaniem jest Stwórca w górze! Tymi dwoma czynnikami, na których oparta cała potęga świata, jest wiara i prawda, której wielostronne, a zawsze jednakie mozem postawić uosobienie.

Dla nas małych atomów, dla nas, co patrzymy z zakresłonego sobie widnokręgu ziemskiego, będzie to niebo i ziemia, modlitwa i praca, poezja i proza żywota, będzie to, duch Boży i z Boga dany nam duch człowieczy.

Wiara i prawda, te dwa wyrazy stanowią całą harmoniję i całą potęgę naszą na ziemi, bo od nich płyną wszystkie pierwiastki ducha, których wyrazem: *Myśl*.

Myśl, to ta iskierka Boża, którą z padołu ziemskiego podnosi nas Pan nad Pany, atomem Bóstwa swojego z pomiędzy stworzeń nas wyróżniając. Myślą idziemy w on świat duchowy, w nieskończone dziedziny na trud i pracę ziemską skazani, szukając prawdy, która na każdym kroku żywota w najdrobniejszym atomie widna, otwiera nauk i sztuki podwoje,—pozaaktorem, gdzie myśl nie sięgnie—tam wiara stoi,—kędy jest kres dla ducha człowieka, tam duch jest Boży.

W dziedzinie myśli tam gdzie szukamy rozwoju i prawd ogólnych, tam człowiek jednolity stanowi całość—jest dziełem Bożem; tam niema różnic ni granic, ale jedna tylko rodzina, której nazwaniem ludzkość.

Tam, począwszy od Boga, wszystko wspólne, wspólna praca, i praca, myślą, natchnieniem zdobyte prawdy i nabytki, które rozświetlone wybrańców bożych genialną potęgą—natchnieniem, stają się już bezwarunkową własnością świata!

Nauka, zwłaszcza nauka ścisła, jest tą areną ducha, która nam wszystkim wspólna, stawia nas nierozdzielnie w wielkiej rodzinie, w której wszystko i wszyscy porównie obchodzą nas muszą budząc sympatyą, cześć i interes bezwzględny, bo na tem polu tam wszystko wspólne, od Boga dane jest prawdą, pracą i myślą naszą!

Na tem ogólnym polu nauki, w dziedzinie duchowego i materialnego rozwoju prawd przyrodzonych, sądzę że obudzę w czytelniku zajęcie i sympatyę wspólną a zasłużoną, wyprowadzając o świetle zórz biegunowych, z pod śnieżnych mogił północy, kwiecien uwieńczonego ducha — księżęcia flory — genialnego olbrzyma myśli, nieśmiertelnego *Linea!*

Przeniesiem się więc w zaranie osmnastego wieku, w epokę którą poprzedziły już wielkie chwile rozwoju naukowego, przygotowując, zwłaszcza po odkryciu nowego świata, podstawę, zasady i prawdy nowoczesnej oświaty i nowe dla niej koleje.

W naukach przyrodzonych poprzedzili epokę pracownicy niezmordowani. Staraniem i trudem takich ludzi jak Konrad Gessner z Zürichu, Abdowrandi w Bolonii; Ray w Black-Notlay, (Esferdschire w Anglii) i Józef Pitton Tournefort w Aix i Paryżu, historia naturalna zdobyła już skarby wiedzy niepospolite; ale brak doświadczeń fizycznych trzymał jeszcze na uwięzi naukę, nie pozwalając nawet korzystać z wielolichnych nabytków, które nieraz w chaotycznym splątane nieładzie rozwiązania oczekiwały. W takiej chwili, zjawia się nad umysłową Europą gwiazda, z północy świecą Linéusza imieniem.

Mędrzec szwedzki zdumionemu światu otworzył oczy i rozwiązał prawdy niezrozumiałe, otwierając nową epokę. Genialnym poglądem naturalista wyprowadził z chaosu, nauki przyrodzone, dochodząc do uporządkowania systematycznego poplątanych rodzajów (genera), do ustalenia zasad organicznych i ujęcia takowych w jasną prawdę, której systematem określił charakter i organizm ciał naturalnych, które dopiero odtąd ugrupowane rodzajem i gatunkami, znalazły w nauce rzeczywiste obywatelstwo i nazwę, stając się wiedzą i prawdą uzasadnioną.

Systemat wielkiego naturalisty botanika, był dziełem olbrzymiem. On pierwszy ustalił treść i nazwę, stworzył kunsztowne dzieło, roznosząc światło, które odsłoniło ludzkości potęgę systematu Bożego na ziemi, w którym wszelkie stworzenie przez siebie i obok siebie istnieje, stanowiąc całość nierozzerwaną, jakoby jednego ciała arterye.

Nauka ówczesna jednolitym posługując się jeszcze językiem, terminologią łacińską, rozniosła tém łatwiej to apostołstwo wiedzy po świecie Bożym, zapisując obywatelstwo mistrza we wszech, narodowej dziedzinie.

Odtąd Karol Linéusz staje się już własnością świata; Duch jego, by gwiazda świeci, królując naukowej drużynie.

I.

W dzikiej i odludnej dzielnicy szwedzkiej, w okoloniej ciemnymi bory i jeziorami Smolandyi, na pograniczach północnej Skanii, ponad rozległym Jeziorem Möklen, rysuje się wśród zieleni kościołek drewniany, i strzela w niebo wieżyczką białą. Tuż obok skromna go okoliła osada Stenbrohult; to legendowa zagroda chłopa Jonsona, z której wyrosły i zgasły już w Szwecyi, trzy bratnie rody Tiliandrow, Sindeliusów i Linéusów, pokłótych nietykalnym pomnikiem pozostał przed

pustym dworem, podziś dzień sterczący szkielet trzyramiennej lipy, która wedle legendy, porównano z gasnącymi rodami co od jej drzewa nazwane, konała.

Pod tym ubogim dachem z pokolenia na pokolenie, przechodziło w rodzinie tradycyjne dziedzictwo wiążące dworek z kościelnym progrem tej okolicy. Parafia nie wychodziła niemal z obrębu rozrodzonych szczepów Jonsona, które dostarczały jej miejscowego pasterza. Pod koniec siedemnastego wieku proboszczem tutejszym był Sven Tiliander; siostra jego Ingemarsdotter, czyli Córka Ingemara, posłubiona była Mikołajowi Lineusowi, który po śmierci szwagra objął kapłańską jego siedzibę.

Miłośnik natury, poświęcał Mikołaj wolne chwile ogrodnictwu, które dlań było ulubionym wytchnieniem; pielęgnował rośliny i kwiaty z zamiłowaniem, które podzielała z zapałem żona. To też skromne probostwo, otoczone było wypieszczonym ogrodem, ubrane zielenią i wonią kwiatów owiane. Był to raik maleńki, rozgłośny dokoła ogródek, który, niby zabłąkana oaza, odznaczał się w puszczy dziedziny.

W roku 1706 z 22 na trzeci maja, wśród letniej nocy wiosennej, porównano z pierwiosnku kwiatem, którego słowik poranna wita piosenką, w strojnym domku, narodziło się dziecię ich pierwotne. Słowik nucił tam pewno niezrozumiałą wczas piosenkę, nucił dziecku kwiatów ballady, albo li dziecku niósł pieśń natchnienia, albowi kwiatom piał zwiastowanie, bo w onęj nocy narodził się Flory księżę i kwiliło w kołysce dziecię, które wśród kwiatów wzrosło, kwiatami ubrało i rozniosło po świecie Bożym Karola Linnéusza znaczenie.

Dziwnym zrządzeniem opatrności, od pierwszej chwili porodu natura dziecięcia zdawała się nierozłącznie związaną z żywiołem przyrody jego, jakoby z wczasu zapowiadała już niebo, że ten zesłany wybraniec Boży, co z kwiatów koronę sławy uwije roznosząc światło nauki, od Boga dany — nie z siebie ale tam z góry natchnienie i przeznaczenie przynosi!

Kilkotygodniowe niemowlę lubiło kwiaty, one były pierwszym a jedynym cackiem dziecięcy — do nich wyciągał rączką drobne, uśmiechał się do kwiatów i tylko niemi chciał się bawić jedynie. Kiedy płakał, matka utulić nie mogła syna inaczej, jak pierwszy lepszy podając kwiatek czarodziejsko uspakajają.

Wśród tego ogródka rozwijało się i bawiło szczególnie dziecko, pierwsze po nim kroki stawiając. Pierwsza jego nauka, pierwszy pacierz, myśl pierwsza, wszystko to pod okiem pocieżnej matki i w wianku tych kwiatów skromnych się odbywało, i wszystko do nich stosując, niemi i przez nie w umyśle jego się rozwijało.

Czteroletniem pacholeciem towarzyszył raz ojcu do Möklenäs, osady, która po drugiej stronie jeziora przesliczonym była spacerem. Rodzice w towarzystwie przyjaciół wybrali się w tamte strony, aby użyć pięknego dnia odpoczynku. Pastor Nils (Mikołaj) jako znawca opowiadał sąsiadom rozmaite szczegóły o hodowli kwiatów, gatunkach i nazwiskach, a zrywając na łące, pokazywał pojedynczych egzemplarzy własności. Opowiadanie budziło ogólny interes, wszyscy byli zajęci i niezważano wcale na dziecko. Karolowi świeciły się oczy namiętnie, a paląc wzrokiem, utkwione były rozumnie w opowiadającego poważnie ojca, a świeciły się takim blaskiem nadprzyrodzonym, że dostrzegła to wylężniona matka i tuląc do siebie chłopczyka, spytała, ażali nie chory; ale on prosił aby nieprzeszkadzała, wskazując na ojca i pokazał, że trzyma w ręku korzenie dopiero co zerwanej przez niego rośliny Orchis, o której właśnie im opowiadał. Patrząc na tę niemą scenę zdawało się jakoby w tej chwili jakiś duch — geniusz po nad większą ulatując drużyną, natchnieniem zstąpił namaszczając dziecię.

Od tej pamiętnej chwili, podwoiło się niemal wyłączne jego zamiłowanie i obudził się interes niepowsściągniony do wiadomości botanicznych. Co dnia zadawał ojcu pytania, dowiadywał się

o nazwę kwiatów i rozmaite o nich szczegóły. Dziecko zapominało czasem, kilkakrotnie te same powtarzając pytanie. Pastor raz już zniecierpliwiony ofuknął syna, zapowiadając, że kiedy nie pamięta co mu powiedział, powtarzać odtąd nie będzie. Od tego czasu mały botanik zagrożony tem oświadczeniem, bojąc się utracić ojca nauki, zwrócił już całe siły by zapamiętać najmniejszy szczegół i rzeczywiście coraz to bardziej zastanawiały myśliciela postępy.

W roku 1717 rozpoczęto nauki. Rodzice, a zwłaszcza matka, zawczasu już przeznaczali mu powołanie, marząc jedynie, aby spadkobierca imienia, odziedziczył stanowisko ojcowe, ów stan duchowny, który z ojca na syna przechodząc w szczepach chłopca Jonsona, był już od dawna dumą rodową, która tutaj zastępowała arystokratycznych rodzin tradycje. Tradycyjnym marzeniem i ambicją rodów Tiliandrow Lineuszów i Lindeliusów w było ubogie probostwo, które niby majorat z kolei się im dostając, pominąć się niegodziło.

Oddano chłopca do miasteczka powiatowego Wexio, do szkoły przygotowawczej, a po kilku latach do gimnazjum. Nauki wczas trzymały się systemu pedagogicznego, który obciążając myśl suchym wykładem metodycznym, i przeciążając bezwzględnie martwymi językami, nie pociągał żywego i wyjątkowego usposobienia młodego Karola.

Kształcono go zawczasu na księdza; łacina, język grecki i hebrajski były nadmiarę nadużywane. Matematyki uczone niewiele, nauki przyrodnicze lekceważone; a w tych odznaczał się nasz młodzieniec. Uczeń zrażony i zniechęcony, postępów nie robił żadnych w szkole, zamierała w nim dusza, błąkały się myśli samopas i żył tylko wtedy, kiedy się wyrwał na pola i łąki i za kwiatami uganiał.

Był to najgorszy z uczniów. Szedł rok za rokiem a młody Karol samopas duchem bujając, na uwięzi trzymany, uważany był za wyrzutka, którego groźbą ni prośbą nikt nie nauczy, z którego nikt nie nie robi, a tem mniej rodziców zaspokoju życzenia. Z przekąsem i pogardą nauczyciele i towarzysze przezywali go botanikiem, nieprzeczuwając że właściwe i pełne chwały dają nazwanie.

Po kilku leciech takiego bezowocnego mozołu w gimnazjum, po kilku latach zawiedzionych nadziei, nie potrzebnych i mało znaczących nauk, w których jedynie z zamiłowaniem i korzyścią rozwijały się tego nieuka zdolności, przybył 1724 roku do Wexio ojciec, aby odwiedzić syna i przekonać się naocznie jakie tam w szkołach robi postępy, a złamany chorobą chciał się zarazem poradzić najlepszego podówczas w swej okolicy lekarza, profesora Rothmana.

Skoro biedny ojciec przestąpił progi rektora i odwiedził z kolei wszystkich profesorów gimnazjalnych, zaszepiło się strokane oblicze starca; wszyscy jednoznacznie bowiem mu oświadczyli, że poświęcenie i nakład tyloletniego pobytu w Wexio bezowocnym było staraniem, że młody Karol nie tylko księdzem ale zaledwo człowiekiem być kiedykolwiek potrafi, że nie do książki i nauk stworzony, czas i mizerne zdolności fatalaszkami i niepotrzebną zabawką marnując.

Wszyscy jednoznacznie z politowaniem i współczuciem dla ojca, radzili aby odebrał ze szkół nieuka a poświęcił go raczej rzemiosłu, by tam przynajmniej oderwany od marzeń i kwiatów, dratwą lub nożycami umiał się kiedyś zabezpieczyć od głodu i nędzy, jakie ubogiemu chłopięciu zapowiadano.

Biedny starzec długim utrzymywaniem syna wyczerpywał już ostateczne fundusze ubożego probostwa, które zaledwo rodzinie na chleb powszedni starczyło. Syn ukochany, cała nadzieja przyszłości, gorzkim był teraz zawodem; roztrącone były słodkie marzenia i rodowej tradycji nadzieje, a konieczność twardej rzeczywistości nakazywała już niemal oddać go do rzemiosła. Przyciśniony takim bolesnym wyrokiem, że ła-

mi w oczach powlókł się wreszcie pastor Nils do miejscowego lekarza Rothmana, który był także profesorem gimnazjalnym fizyki. I tutaj przewidywał tylko nagane, nie pytał więc już o syna ale o siebie tylko się radził. Doktor Rothman przyjął pacjenta łaskawie i serdecznie; z rozmowy wypadła rzecz i o dziecku. Ojciec rozplakał się rzewnie, powtórzył wyrok nauczycieli i odsłonił dalsze postanowienie. Doktor Rothman, powstał zgorzony a obejmując pastora zawołał z zapałem: „A ja wbrew wszystkim Waćpanu powiadam, że z wszystkich uczniów szkoły tutejszej, jeden tylko Karol Linnéus zapowiada świetniejsze powodzenie na świecie.”

Stary Nils otworzył oczy zdumiony, nie wierzył uszom własnym i nierozumiał mistyfikacyi. Iskierką nadziei zaświeciło oblicze; ale zachmurzyło się znowu czoło złowieszczą okrywając ządumą, bo cóż znaczyła pojedyncza jednostronna i zbyt łaskawa opinia doktora w obec całego szkolnego areopagu. Karol musiał już teraz iść w termin do szewca, nie starczyło grosza na bazowocną naukę.

Ale młody Karol był właśnie ulubieńcem pocieżnego lekarza, który z przekonania, a nie z litości, ujął się losów jego, i wstrząsnął się cały na przypuszczenie ubliżającego postanowienia rzeczywistym zdolnościom młodzieńca.

Pochwyciwszy więc ręce zakłopotanego Nilsa, oświadczył mu energicznie, że na nożyce lub szyciu on nie pozwoli stanowczo; że Karol wprawdzie na księdza niepowołany, ale że w każdym razie będzie doskonałym lekarzem i znakomitym człowiekiem, a w oczach jego świeciło przekonanie niezłomne wieszczą przepowiedzianej prawdy.

Dla tego też zacny człowiek, ujawszy się za młodzianem, otworzył mu dom gościnnie, przytułił do swej rodziny, izwolnił ojca od dalszego nakładu, obiecując wszelkie staranie i dokładną naukę, zanim dziecko wraz z kolegami nie przejdzie już do wszechnicy.

Odtąd w domu Rothmana z dnia na dzień zwiększała się przyjaźń i ścieśniały stosunki tych dwojga ludzi. Zacny medyk oprócz nauki gimnazjalnej całemi godzinami uczył prywatnie wdzięcznego wychowanka, który z zapałem miłości wiedzy i przywiązania dla opiekuna rozwijał się w ukochanych przez siebie umiejętnościach.

Reszta, szła sobie z wolna i mimo najlepszej woli, zawsze jeszcze z oporem.

Po roku pracy w 1727 nadeszła chwila rozstania. Młodzież, skończywszy szkołę, rozchodziła się do wszechnicy unosząc z sobą chlubne świadectwa gimnazjalne.

Linnéusowi napisano oryginalnie następujące wyrazy: „Młodzież szkolna porównana być może do szkółki drzewnej. Zdarza się rzadko, ale się zdarza wprawdzie, że niektóre młode szczepy mimo najtroskliwszego starania karleją, źle wyrastają i nieprzyjmując kultury pozostają dzieckami; ale przesadzone na inną glebę dopiero się odmieniają i w piękne wyrastają drzewo. W takiej to tylko a nie innej nadziei, przesyła rektor oddawcę niniejszego świadectwa do uniwersytetu, aby mu zmiana klimatu do dalszego posłużyła rozwojowi.”

Oryginalne i dziwnem znowu zrządzeniem opatrności, prawdziwie odpowiednie było to zaświadczenie dla przyszłego naturalisty i botanika, zaświadczenie w którym go Rektor z przekąsem porównywał do roślin Bożych, jakimi właśnie zapoznany ten uczeń niósł apostołstwo światła Pańskiego na ziemi.

II.

Nieznanym nikomu, ubogo odziany, ze szczupłym węzełkiem na plecach i szczuplejszą jeszcze kieszenią, w której potępiające miał zaświadczenie, wchodził do Lundu piechoto zmęczony wędrowiec szukając w poważnym grodzie nauki, oświaty i chleba zarazem.

Niebo było posępne, ponad miastem rozchodziły się głosy zdwonów kościelnych i zaraz

w pierwszej ulicy zastąpił mu drogę liczny orszak żałobny. Linneus ustępując z drogi zapytał przechodnia kogo tak świetnie odprawdzają. Odpowiedziano mu, że to ostatnia posługa oddana proboszczowi katedralnemu Bunde Humerus, który zmarł temi dniami. Na to imię poblado lice ubogiego studenta, zadrzał i zimnym potem obłany, chwiejnym krokiem poszedł za trumną z drugimi.

Doktor Bunde był bowiem jedyną osobistością, na której poparcie i opiekę mógł rachować Linneus, przynosząc z sobą list polecający go zmarłemu. Zaraz więc na wstępie twardego żywota doznał cierpkiego zawodu i uczuł się posród obcych, sierotą bez dachu, poparcią ni chleba. Wrażenie tej pierwszej chwili samodzielniego życia, rozpoczętego żałobnych dzwonów muzyką, które nadzieję mu odebrały, tak silnie na umysł jego działało, że go nigdy zapomnieć nie mógł i jak sam w pamiętnikach swoich powiada, nigdy i w żadnym zdarzeniu nie mógł odgłosu dzwonów słuchać bez wstrętu i bolesnego wrażenia.

Rozpatrzywszy się w mieście, spotkał się z dawnym nauczycielem, który tu w Lundzie był teraz docentem. Zaczny profesor Magister Gabriel Höck ulitował się nad położeniem biedaka, i chcąc mu oszczędzić na wstępie przykrości pokazania niekorzystnego świadectwa, przedstawił go rektorowi, jako ucznia swojego i bez dalszego wywodu w listę słuchaczy zapisał; a widząc, że biedny chłopiec pozbawiony jest wszelkich funduszków, wyprosił mu bezpłatną izdebkę w domu profesora Stobäusa.

Stary ten profesor był postacią oryginalną i odrażającą zarazem. Bez oka, kulawy, zparaliżowany napoły, kalectwem i chorobą złamany, był opryskliwym i cierpkim hipokrytą, aczkolwiek charakteru zacnego i wielkiego serca. Był wziętym lekarzem i znakomicie wykształconym uczniem, zainteresował go więc ten przybysz ubogi poświęcający się medycynie.

W domu profesora mieszkał ówczesnie wielki jego faworyt, Niemiec, nazwiskiem Kaulus, kształcający się na medyka i mający wstęp wolny do prywatnej jego biblioteki. Znajomili się z nim Linneus a pozyskawszy przystęp i względy — pożyczał od niego tajemnie książki fizyologiczne i kształcił się z nich podług danych mu wskazówek Rothmana. Pożyczywszy książkę, zatopiony w nich siadywał całemi nocami młody myśliciel i połykał tom za tomem tajemnie. Gdy tak pracował, żona profesora niemożąc spać nocą zauważała to nieustające światło w pokoju Smolandczyka, jak go tu nazywali, i przekonana, że przez niedbalstwo, zasypiając zapomina gasić świecę, oskarżyła go przed mężem, prosząc aby temu surową naganą zapobiegł.

Następnej nocy Stobäus obudziwszy się czuwał; wybiła czwarta godzina, a światelko w izdebce młodzieńca potwierdziło obawy i posądzenie. Gniewny, poszedł na górę cichaczem i otworzył drzwi nagle, chcąc gromko niedbalca obudzić i wyłajać. Karol zatopiony w nauce więcej niż kiedykolwiek, nie słyszał szelestu ani przeczuwał groźnych odwiedzin zastraszającego gospodarza. Stobäus, który spodziewał się zastać śpiącego, stał nad nim napoły gniewny a więcej jeszcze zdziwiony, a skoro dostrzegł że go wreszcie zaskoczony winowajca zobaczył, zawołał: „Czego nie spisz jak inni ludzie, i kusisz po nocach!” — a spojrzawszy na książki, „cóż to znaczy?” — „zkaźde to Waćpan do tych książek przychodzi?” zapytał. Linneus nieśmiało opowiedział mu całą prawdę; stary nie mówił, a mruknąwszy pod nosem kazał mu się zaraz położyć, sypiać jak inni i trzasnąć drzwiami, wychodząc.

Nazajutrz zawołano studenta do doktora. Karol popieszył z bijącym sercem, nieprzyjemnie oczekując rozprawy. Stobäus, przyjął go milcząco, zchorzwała twarz kaleki dziwny wyraz miała; po chwili podał mu klucz do ręki mówiąc: „Oto jest wstęp do biblioteki, bierz aspan książ-

zek ile mu się podoba, ale sypiać po nocach!” A po chwili łagodniejszym już głosem, ofiarował mu stół u siebie, mówiąc, że nietylko duchowego potrzeba ludziom obroku, — a zauważał, że student nie codziennie obiada.

Odtąd rozświeciła się trochę gwiazda Karola, zaznajomił się lepiej z poczciwym doktorem, który widząc zdolności jego, zapalał do pracy, i bystry na wszystko pogład, wyręczał się nim czasami, posyłając do pacjentów, a w końcu tak Linneusa polubił, że mu wyraźnie oświadczył zwykłym tonem swym urywkowym: „Jeżeli Waćpan i nadal tak pracować i zachowywać się będzie jak dotąd, to zrobię zeń człowieka. Nie mam dzieci, acan mi się podobasz, majątek mu po śmierci zapiszę.”

Następnego roku młody Linneus herboryzował w dolinach Vogelsangu, w okolicach Lundu, w towarzystwie jednego z świetlejszych kolegów uniwersyteckich, Macieja Benzelsstierna (czytaj Benzelszerna) późniejszego kommandora Gwiazdy północnej i dyrektora poczt szwedzkich, który był synem ówczesnego Arcybiskupa Prymasa Upsalskiego, słynnego z nauk Jakuba Benzeljusza. Upał był nadzwyczajny, młodzi przyjaciele pozejmowali odzienie, zajęci pracą. W tém owad zatruty, tak zwana Furia infernalis, ukąsiła Karola w ramie, które w jednej chwili nabrzmiało nadzwyczajnie.

Gorączka wywiązała się silna, wzmagała i życie młodzieńca było w niebezpieczeństwie. Choroba trwała bardzo długo, wycieńczyła go zupełnie i byłby niechybnie zmarł, gdyby go, w nieobecności Stobäusa, podrzędny felczer, śmiałem przecięciem całego ramienia i sympatycznymi ziołami nie był energicznie ratował.

Przyszedłszy do zdrowia, znękany chorobą, musiał zaprzestać nauk, powrócił do Stenbrohult i wyprocywał pod okiem stęsknionych za nim rodziców.

Na wieść o powrocie dawnego ulubieńca, przybył też doktor Rothman, dawny jego opiekun z Wexjo.

W czasie poufnych pogadaniek, doktor wychwalał wyższość Wszechnicy Upsalskiej, utrzymując, że Lund nie może z tą Alma mater iść w porównanie, zwłaszcza w fakultecie medycznym, w którym obecnie przyswiecają tacy profesorowie jak słynny Olof, Rudberg i Robek.

Co do nauk przyrodniczych w ogóle, te, wedle zdania Rothmana, zaniedbane w Lundzie nie obiecywały słuchaczowi dostatecznych korzyści. Zdawało się także, że w Upsali łatwiej będzie ubogiemu uczniowi medycyny wyjednać sobie z czasem stipendium lub jaki taki zarobek.

Rodzice widząc pracę i słysząc o zdolnościach syna, marzyli zawsze jeszcze upragniony dlań stan duchowny. Matka płacząc przedstawiała mu perspektywę rodzinnego probostwa, chleb spokojny i pewny; ale ani lzy matki, ani westchnienia starego pastora nie mogły go na wytkniętej powstrzymać drodze.

Chciwy przedewszystkiem nauki, o powszednim nie pamiętał chlebie. W Lundzie, dom zamożnego Stobäusa stał już dla niego otworem, a w przyszłości oczekiwało go tam zamożne po nim dziedzictwo i liczna a pewna praktyka; ale utkwili w sercu, Rothmana uwagi. W wyobraźni świeciła nauk królowa — Upsala, profesorowie słynni, biblioteka, ogród botaniczny i tysiąckrotne nadzieje. Tym widokom poświęcił wszystko, porzucił znów dom ojcowski, porzucił Stobäusa opiekę — a opatrzony rodzicielskiem błogosławieństwem i kilkudziesięciu talarami szwedzkimi, biegł do Upsali z Wirgiliuszem wołając:

„Labor omnia vincit
„Improbis, et duris urgens in rebus egestas!”
(d. c. n.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier.
Opracował Dr. Franciszek Czerny.

„Wy co chcecie pracować, wspominajcie! Wy, co stawiacie terazniejszość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości!”
Krasicki. — Niedokończony poemat.

W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu”. Nakładem autora. 1872, in 8-vo, str. 178. Rs. 1.

Znajdzie tu czytelnik streszczenie rzeczy o Cyryllu i Metodyuszu, dawnem państwie Wielkiej Morawii i t. d. z Rettela (*Cyryll i Metodyusz*. Paryż. 1871), Szafarzyka (*Starożytni Słow.*), Dudyka (*Allgem. Gesch. Mährens*. Bern. 1860), Büdingera (*Oesterreich. Gesch.* Leipzig. 1858), Palackego (*Gesch. v. Böhml.*), Dümmlera (*Ueber d. südöstl. Mark. d. fränk. Reich.; Pilgrin von Passau*), Hilferdinga (*Gesch. d. Serb. u. Bulgaren*) i innych. Czasem się spotyka Einharda, Annales jakie, lub którego z kronikarzy. Autora więcej zajmują dzieje polityczne trzech państw, na tytule wyrażonych; dziejów kościelnych tu bardzo mało. Powiem nawet, że i ta trocha dziejów kościelnych jest pochłonięta przez polityczne. To jednak pominięcie na dobre wychodzi tej książce. P. Cz. bowiem mało zna ogólne dzieje kościoła, więc i o specjalnych nie mógłby dobrze rozprawiać. Tak np. prawi, że papieżstwo, z upadkiem cesarstwa zachodnio-rzymskiego „pozbawione aureoli, jaka na nie spływała pośrednio z dworu cesarskiego”, czuło naglącą potrzebę odrestaurowania tegoż cesarstwa w XIII wieku. Autor chciał powiedzieć, że papieżom potrzebna była aureola dworu cesarskiego obok nich? Nie; bo przypisuje im „tendencją wyniesienia się do światowładczej potęgi” (str. 64). Zatem wszystko jedno im było mieć tę aureolę, czy w Byzancjum, czy w Paryżu, czy w Moguncyi, czy w jakimkolwiek innym mieście. Żeby zaś na nich jaka aureola z dworu cesarskiego spływała, historia o tem nic nie wie. Wie tylko, że protekcja przez dwór byzantyjski Kościołowi dawana, była nieznośnym ciężarem. Ile razy bowiem wynikały jakie spory religijne, monarchowie ci po swojemu je, najczęściej przeciw papieżstwu rozstrzygali, w skutek czego wynikały surowe represye, a w nich samym papieżom dobrze się dostawało.

P. Cz. idąc za zdaniem swych mistrzów, przycygnę upadku państw słowiańskich, a następnie i braku wiadomości o dawnych ich dziejach upatruje w tem: że Słowianom brakowało jednej spójni i że byli trapieni najazdami. Mybśmy dodali trzecią ważniejszą. Wiadomo bowiem, że nie mniej prowincyje germańskie były na te najazdy narażone. Ale że barbarzyńcy zastali Germanję już urządzoną po chrześcijańsku, przeto jej nie zrobili nie zdołali. Dla tej samej przyczyny musiało pod ręką Germanów, już ucywilizowanych, nikać wszystko, co było barbarzyńskiem (pogańskiem). Był to wielki błąd ze strony królów Wielkiej Morawy, kładąc politykę przed chrześcijaństwem. Tylko jedność byłaby im pomogła do skupienia rozetwarych żywiołów, a przeto usunięta byłaby pierwsza przyczyna ich upadku, — decentralizacja. Przez nienawiść zaś ku Niemcom, tworząc sobie swoją formę chrześcijaństwa, i tę formę utracili, i siebie od zagłady uchronić nie zdołali. Za tym poglądem przemawiają dzieje Czechów Kraj ten, aczkolwiek sąsiadujący z Germanją, a przeto na podbicie najwięcej narażony, trzymał się jednak długo. Upadł wtedy gdy mu się zachciało oddzielnego czeskiego chrześcijaństwa; albo, inaczej mówiąc, kiedy zachciało mu się zczeszyc chrześcijaństwem, zamiast swój czechizm zchrześcijańczyć. Przykładów podobnych znajdziemy więcej, jak tylko w zapatrywaniu się na dzieje przestaniemy wierzyć w powagę, uczonych wprawdzie, ale nie wolnych od uprzedzeń, krytyków niemieckich, którymi najwięcej się posilkujemy. Pominałszy zaś słabe strony, dziełko p. Cz. może się przydać jedynie z tego względu, że obznajmia trochę z literaturą, odnoszącą się do epoki zaprowadzania chrześcijaństwa w krajach słowiańskich. K.

Od Redakcyi Kroniki.

P. Adeli S. w Szenderanach. Piąty tom Kroniki posłany wraz z ostatnim kwartałem zeszłego roku.

P. Hr. M. J. w Małczanach. Fotografie i dawna Kronika posłana.